





POEZYE PROZA

Nicholas Janick

KAROL BAUDELAIRE

DROBNE POEZYJE PROZĄ

Tłumaczyła

Helena z Sienkiewiczów Żuławska

Z portretem autora

i z przedmową

Jerzego Żuławskiego.



KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI D. E. FRIEDLEINA
WARSZAWA – E. WENDE I SKA

1901

A.9487



1000172128



K.501/55/1

Literet.
13 d, 9

Właściwie... arcydzieł nie powinno się tłumaczyć, bo zawsze na tem tracą. A już przede wszystkim nie należy czytać tłumaczeń, gdy można czytać oryginał. — Te uwagi, nie licujące z celem przedmowy do tomiku tłumaczeń, cisną mi się pod pióro. Mimo to przyznać muszę, że przekłady mają wielką rację bytu. Zapoznają one z obcemi arcydziełami tych, którzy z jakiegokolwiek powodu w oryginalu czytać ich nie mogą, a co ważniejsza, są częstokroć pobudką do poznania pierwowzoru; do zaczerpnięcia wody u źródła, którego one są tylko nikłym odpływem. Nie potrzeba na to przytaczać przykładów; są one dostatecznie i powszechnie znane.

Naturalnie mam tu na myśli tłumaczenia, będące mniej lub więcej wiernem odtworzeniem wzoru, — ich całą zaletą jest właśnie wierność. Wielcy poeci tłumaczą inaczej: ani Mickiewicz Byrona, ani Słowacki Kalderona nie odtwarzali, lecz przetwarzali. Im nie chodziło już o wierność, lecz o ducha utworu, którego nawet, jak Słowacki, nie wahali się według własnego usposo-

bienia przetwarzać. A jednak to nie-wierne tłumaczenie wielkich poetów przez wielkich poetów jest najwierniejsze, bo jest tem, czem pierwowzór: arcydziełem.

Baudelaire, jeden z największych nowożytnych geniuszów poetyckich, nie doczekał się jeszcze takiego tłumacza, choć nań zasługuje. Przekłady A. Langego i Adama M-skiego niektórych wierszy z »Fleurs du mal« są bezwątpienia piękne i dobrze zrobione, ale — to jeszcze nie to, coby być mogło i powinno. »Poemes en prose« o ile wiem, w ogóle dotąd w całości ani w większych częściach tłumaczone nie były. Niechże niniejszy przekład ten brak tymczasowo przynajmniej usunie.

Tłumaczka, po raz pierwszy zresztą na tem polu występując, nie kusila się nawet o zupełne dorównanie wzorowi: na to trzebaby poety równie wielkiego, jak Baudelaire. Wszystko, co mogła osiągnąć — i mojem zdaniem osiągnęła — to czystość języka i wierność przekładu. Sądzę zatem, że bez obawy, owszem z pewną otuchą może oddać swą pracę w ręce czytelników. A praca to, trzeba dodać, nie lekka, zwłaszcza jeśli się zważy trudności, które nastrecza sposób wyrażania się, a jeszcze więcej sposób myślenia i obrazowania tego poety!

„Poemes en prose“ są tak mało u nas znane i czytane... A jest tam przecież kawał żywej, nieubłaganie krytycznej i szyderczej, a uczuciem drgającej do głębi i w tych sprzecznościach rozpaczliwie krzyczącej współczesnej duszy człowieczej. Kawał, mówię, bo czasem wątpię, czy ta dusza dzisiaj w ogóle jako jednolita całość istnieje.

W Krakowie w grudniu 1900.

JERZY ŻUŁAWSKI.

KAROL BAUDELAIRE

DROBNE POEZYE PROZA

DO ARSENA HOUSSAYE.

Mój drogi przyjacielu, posyłam ci to małe dziełko, o którem nie możnaby nie bez słuszności powiedzieć, że nie ma ni ogona ni głowy, ponieważ jest tu wszystko i głową i ogonem równocześnie, kolejno i naprzemian. Rozważ, proszę cię, jakie nadzwyczajne dogodności daje ta kombinacya nam wszystkim, tobie, mnie i czytelnikowi. Możemy przerwać gdzie chcemy, ja moje marzenia, ty rękopis, czytelnik lekturę; ponieważ ja nie pociągam bynajmniej woli jego odpornej nieprzerwaną nicią wyszukanej intrygi. Usuń jedno ogniwo, a pozostałe części tej krętej fantazyi dadzą się połączyć bez trudu. Potnij ją na liczne kawałki, a zobaczysz, że każdy z nich może istnieć oddzielnie. W nadziei, że niektóre z tych dzwondocść będą żywotne, aby cię rozerwać i zabawić, ośmielam się ofiarować ci całego tego węża. Mam wyznać ci jeszcze jedno. Właśnie to, gdym po raz dwudziesty może przeglądał

znakomitego *Gasparda de la Nuit* Alojzego Bertranda (książka znana tobie, mnie i kilku naszym przyjaciołom — czyż nie ma wszelkiego prawa zwać się *znakomitą*?) przyszła mi myśl, aby się pokusić o coś podobnego, i środki, którymi on się posługiwał w obrazie życia starożytnego, tak niezmiernie malowniczego, zastosować do opisu życia współczesnego, a raczej *pewnego* życia współczesnego i więcej abstrakcyjnego.

I któż z nas nie marzył, w dniach górnych zamiarów, o cudzie poetyckiej prozy, muzykalnej, bez rytmu i rymu, dość giętkiej i dość śmiałej, by się zastosować do drgnień lirycznych duszy, do kołysań marzenia, do porywów świadomości?

Przedewszystkiem z odwiedzania miast niezmiernych, wśród krzyżowań ich niezliczonych wpływów ten nieodparty ideał się rodzi. Czyż ty sam, przyjacielu drogi, nie usiłowałeś przełożyć w *śpiew* przeraźliwego krzyku *Szklarza*, i wyrazić prozą liryczną wszystkich dręczących sugestyi, które ten krzyk posyła aż na poddasza, przez najgęstsze mgły ulicy?

Ale, prawdę powiedziawszy, obawiam się, by mi zazdrość na złe nie wyszła. Zaledwie pracę rozpocząłem, spostrzegłem, że nie tylko

pozostałem daleko za moim niezgłębionym i świetnym wzorem, ale tworzyłem jakąś rzecz (jeżeli to można nazwać *jakąś rzeczą*), dziwnie odmienną; wypadek, z którego każdy inny prócz mnie byłby dumny niewątpliwie, który jednakże li głęboko upokorzyć może umysł uważający za największe szczęście poety wykonanie *właśnie* tego, co zrobić zamierzał.

Twój szczerze życzliwy

K. B.

CUDZOZIEMIEC.

KOGÓŻ kochasz najwięcej, człeczko niepojęty, mów? ojca, matkę, siostrę czy brata?

– Nie mam ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata.

– Przyjaciół?

– Użyłeś oto wyrazu, którego znaczenie po dziś dzień jest mi niezrozumiałe.

– Ojczyznę?

– Nie wiem, w której stronie świata leży.

– Piękność?

– Radbym ją kochał – boską i nieśmiertelną.

– Więc złoto?

– Nienawidzę go tak, jak ty nienawidzisz bóstwa.

– A więc cóż ty kochasz, cudzoziemcze dziwny?

– Kocham chmury... chmury co przechodzą... tam... czarowne chmury! „...“

II.

ROZPACZ STARUSZKI.

BIEDNA pomarszczona staruszka ucieszyła się, zobaczywszy tę ładniutką dziecinę, której się każdy przymilał i każdy się chciał przypodobać: to milutkie stworzonko, tak wątłe jak ona, staruszka i także jak ona bez ząbków i bez włosów.

I zbliżyła się do niego chcąc stroić śmieszki i pocieszne minki.

Ale dziecina przestraszona bronila się od pieścót pocziwej, zgrzybiałej starowiny i cały dom napelniła piskiem.

Tedy starowinka zamknęła się w swem wiecznem osamotnieniu i płakała w kąciku, mówiąc do siebie: „Ach! dla nas nieszczęśliwych starych niewiast przeminął już czas podobania się – nawet niewiniątkom – i odrazę budzimy w dzieciach, które chcemy kochać!“

III.

CONFITEOR ARTYSTY.

JAKŻE przejmujące są schyłki dni jesiennych! Ach! przejmujące aż do bólu! sąbowiem rozkoszne wrażenia, których nieokreślność nie wyklucza bynajmniej wysokiego napięcia; nie ma kolca ostrzejszego nad kolec Nieskończoności.

Co za rozkosz napawać wzrok widokiem bezmiaru nieba i morza! Samotność, milczenie, niezrównana czystość błękitu! drobny żagiel trzepocący na horyzoncie i który swoją małością i odosobnieniem przypomina mi moje własne, nieuleczalne istnienie, — melodia jednostajna tłumy, wszystko to myśli przezemnie, albo ja myślę przez to wszystko (gdyż w majestacie marzenia moje „ja“ rychło się gubi!); wszystko to myśli, mówię, ale muzykalnie, malowniczo, bez dociekań, bez syllogizmów, bez wywodów.

W każdym razie te myśli, czy wychodzą ze mnie, czy z rzeczy się wydobywają, stają się wkrótce nadto intensywne. Energia w rozkoszy sprawia niesmak i bezpośrednie cierpienie. Moje nadto napięte nerwy wydają już tylko wibracje zgrzytliwe i bolesne.

I teraz przeraża mnie nieba głębokość i jego przeźroczyść mnie przygnębia. Wzdrygam się przed martwością morza i niezmiennością widoku... Ach! czyż trzeba wiecznie cierpieć, czy też wiecznie uciekać przed pięknem? Przyrodo, czarodziejko bezlitosna, rywalko zawsze zwycięska, ostaw mię w pokoju! Nie wódz na pokuszenie mych żądz i mej dumy! Badanie piękna to zapasy, w których artysta krzyczy z trwogi nim zostanie pokonany.✦

IV.

ŻARTOWNIŚ.

BYŁ to rozblask Nowego Roku: zamęt błota i śniegu, rozjeżdżanego przez tysiące karet, iskrzący się zabawkami i cukierkami, mrowiący się chciwością i rozpaczą, szął urzędowy wielkiego miasta, zdolny zamącić mózg najodporniejszego samotnika.

Wśród tego zgiełku i hałasu dreptał żywo osioł, popędzany przez jakiegoś draba, uzbrojonego biczem.

Gdy osioł miał zawrócić na skrócie chodnika, jakiś piękny pan urękawiczony, wylakierowany, straszliwie ukrawacony, uwięziony w nowiuteńkim garniturze, skłonił się ceremonialnie przed pocziwem bydłciem i rzekł, zdejmując kapelusz: „Życzę ci dobrego i szczęśliwego Nowego Roku!“ poczem zwrócił się do jakichś towarzy-

szy z miną zarozumiałą, jakby żądał, by swoim uznaniem wzmogli zadowolenia.

Osiół nie widział tego pięknego żartownisia i pobiegł żarliwie, gdzie go wołał obowiązek.

Mnie zaś nagle zdjęła taka bezmierna wściekłość na tego cudownego głupca, w którym snadź streścił się cały dowcip Francyi.

V.

DWOISTY POKÓJ.

POKÓJ podobny snowi, pokój zaiste *ducho-*
wy, w którym atmosfera zastygła jest lekko
zabarwiona różem i błękitem.

Tu dusza nurza się w kąpieli lenistwa, prze-
pojonej wonią żalu i pożądania. — Jest to coś
mglistego, niebieskawego i różowawego: ma-
rzenie rozkoszy w półmroku.

Sprzęty biorą kształty wydłużone, przeciągłe,
omdlałe. Sprzęty zdają się marzyć; chciałoby się
rzec, że są obdarzone życiem sonnabulicznym,
jak minerały i rośliny. Materye mówią swym
językiem niemym, jak kwiaty, jak nieba, jak
zachodzące słońca.

Na ścianach nie ma nic, coby raziło zmysł
artystyczny. Wobec marzenia czystego, odczucia
niepodzielnego, sztuka określona, sztuka pozy-
tywna jest bluźnierstwem. Tutaj wszystko po-

siada potrzebną jasność i rozkoszny mrok harmonii.

Nieujęta zła woń najwyszukańszego doboru, z którą się miesza leciuchna wilgoć, unosi się w tej atmosferze, gdzie duch w sen się kolysze wrażeniami cieplarni.

Mgła muślinu pada obficie przed oknami i przed łóżkiem; rozlewa się w śnieżnych kaskadach. Na tem łóżku spoczywa Bóstwo, królowa marzeń. Ale skąd się ona tu wzięła? Kto ją przyprowadził? Co za moc magiczna posadziła ją na tym tronie marzeń i rozkoszy? Mniejsza o to! Otóż jest! Ja ją poznałem.

Otóż zaprawdę oczy jej, których płomień przeszywa zmierzch; te subtelne i straszliwe *źrenice* poznałem po zatrważającej zdolności rzucania uroków. One przyciągają, one pokonują, one pochłaniają wzrok nierozważnego, który się w nie wpatrzy. Często się w nie wgłębiałem, w te czarne gwiazdy, co zmuszają do ciekawości i podziwu.

Jakiemuż przyjaznemu demonowi mam do zawdzięczenia, że jestem w ten otoczeniu tajemnicy, milczenia, pokoju i woni? O błogości! to co nazywamy powszechnie życiem, nawet w nadmiarze szczęścia, nie ma nic wspólnego z tem życiem najwyższem, które teraz poznaję

i którem się rozkoszuję z minuty na minutę,
z sekundy na sekundę!

Nie! nie ma już minut, nie ma już sekund.
Czas zniknął; Wieczność panuje, wieczność
rozkoszy!

W tem nagle zabrzmiało u drzwi uderzenie
straszliwe, ciężkie — i zdało mi się, jakoby w śnie
piekielnym, iż ktoś mnie wali w brzuch motyką.

A potem Widmo weszło. To woźny sądowy
przychodzi mnie męczyć w imieniu prawa; po-
dła nałożnica przychodzi krzyczeć o litość
i dodać ohydę swego życia do boleści mojego;
lub też smyk redaktora, który się upomina o
dalszy ciąg rękopisu.

Pokój rajski, Bóstwo, królowa marzeń, *Syl-
fida*, jak mówił wielki Réné, całe to czarno-
księstwo znikło za uderzeniem, którem Widmo
zakołatało.

Zgroza! przypominam sobie! przypominam:
Tak, ta licha izba, ten przybytek wieczystej
nudy — to jest moje. Oto głupie meble za-
prószone, poobtręcane, kominek bez płomienia
i żuźla, upstrzony plwocinami; smutne okna,
na których deszcz wyznaczył bruzdy w prochu;
rękopisy przekreślane i niezupełne; kalendarz,
w którym ołówek zaznaczył złowrogie daty!

A tę woń z innego świata, którą się odu-

rzałem z wrażliwością wyrafinowaną, niestety! zastąpił smrodliwy zapach tytoniu zmieszany z jakąś wstrętną pleśnią. Oddycha się tutaj wonią starzyzny i spustoszenia.

W tym ciasnym, a tak bardzo wstrętnym świecie, jeden tylko przedmiot znany mi się uśmiecha: flaszeczka laudanum; dawna i straszna przyjaciółka; jak wszystkie przyjaciółki, niestety! szczodra w pieszczotach i zdradzie.

O tak! Czas wrócił; czas panuje jako władca teraz i wraz z wstrętnym starcem powrócił jego demoniczny orszak Wspomnień, Żalów, Spazmów, Bojaźni, Udęczeń, Zmór, Złości i Newrozy.

Zapewniam was, że sekundy teraz znaczą się uroczyście i silnie, i każda wyglądając z zegara mówi: „Ja jestem Życie, nieznośne, nieubłagane Życie!”

W życiu ludzkim jest tylko jedna sekunda, której posłannictwem oznajmić dobrą nowinę, *dobrą nowinę*, która każdemu sprawia niewytłumaczoną trwogę.

Tak! Czas panuje; objął napowrót brutalne samowładztwo. I popycha mnie, jak gdybym był wołem, podwójnym ościeniem: „A nuże, zawłoko! poć się, niewolniku! Żyj, potępieńcze!”

VI.

KAŻDY MA SWOJĄ ZMOREŃ.

POD wielkiem szarem niebem, na wielkiej piaszczystej równinie, bez drogi, bez trawnika, bez ostu, bez pokrzywy, spotkałem kilku ludzi, którzy szli zgarbieni.

Każdy z nich dźwigał na grzbiecie ogromną Zmoreń, ciężką jak wór mąki, lub węgla, albo jak tornister rzymskiego piechura.

Ale to potworne zwierzę nie było martwym ciężarem; przeciwnie, owijało i dusiło człowieka elastycznymi i potężnymi mięśniami; wpijało się dwoma wielkimi pazurami w pierś swojego wierzchowca; a jego bajeczna głowa sterczała nad czołem człowieka, podobnie jak te straszliwe przyłbice, któremi starożytni wojownicy starali się zatrwożyć nieprzyjaciela.

Zaczepiłem jednego z tych ludzi i spytałem gdzie idą? Odpowiedział mi, że tego ani on,

ani żaden z nich nie wie; ale widocznie idą dokądś, gdyż każdego z nich prze naprzód jakaś nieprzezwyćzona siła.

Rzecz godna uwagi: żaden z tych podróżnych nie wydawał się zgniewanym na to dzikie zwierzę, uwieszone na jego szyji i przyczepione do jego grzbietu; owszem, rzecz by można, uważał je niejako za część samego siebie. Wszystkie te twarze zmęczone i surowe nie wyrażały bynajmniej rozpacz; pod przygnębiającą kopułą nieba, brnąc w prochu ziemi tak pustej jak to niebo, szli z wyrazem zrezygnowania tych, co są skazani na wieczną nadzieję.

I przeszedł orszak koło mnie, i zatonął w atmosferze widnokregu w miejscu, gdzie powierzchnia planety zaokrąglą się i usuwa ciekawości ludzkiego wzroku.

Przez kilka chwil wysiłałem się, by zrozumieć tę tajemnicę; ale wnet niepokonana Obojętność spadła na mnie, i byłem nią więcej przytłoczony, niż ci ludzie duszącymi Zmorami.

VII.

BLAZEN I WENERA.

Co za cudowny dzień! Ogromny park omdlewa pod pałacem okiem słońca, jak młodość pod wpływem Miłości.

Powszechna ekstaza rzeczy nie objawia się żadnym szelestem; wody nawet są jakoby uśpione. Różna zupełnie jest ta orgia milcząca od hałaśliwych biesiad ludzkich.

Zda się, że światło ciągle wzrastające użycza coraz nowych błysków przedmiotom, że kwiaty podniecone płoną żądzą dorównania żywością barw błękitowi nieba, że upał, czyniąc wonie widocznymi, unosi je ku gwiazdzie dnia jak ofiary.

Jednak spostrzegłem jedną zasmuconą istotę pośród tej ogólnej radości.

U stóp kolosalnej Wenery, jeden z tych sztucznych szaleńców, jeden z dobrowolnych

błaznów, mających obowiązek rozśmieszać królów, gdy Zgryzota lub Nuda ich napada, odziany w kostyum śmieszny i rażący, ubrany na głowie w rogi i dzwoneczki, przytulony do stopni pomnika, podnosi oczy pełne łez ku nieśmiertelnej Bogini.

A oczy mówią: „Jestem upośledzony i samotny wśród ludzi, próżen miłości i przyjaźni, niższy zaiste pod tym względem od najpodlejszego zwierzęcia. A jednak i ja jestem stworzony, by czuć i rozumieć nieśmiertelną Piękność! O! Bogini! zmiłuj się nad moim smutkiem i szaleństwem!“

Ale nieubłagana Wenera patrzy oczyma z marmuru w dal nieokreślną.

VIII.

PIES I FLAKON.

Mój śliczny piesku, mój dobry piesku, moja droga ciuciu, chodź że do mnie, chodź powąchać świetne perfumy, które kupiłem u najlepszego w mieście perfumiarza“.

Piesek kiwając ogonem, co oznacza u tych biednych istot zdaje mi się coś w rodzaju uśmiechu i zadowolenia, zbliża się i przytyka ciekawie wilgotny nosek do otwartego flakonu; i nagle cofa się z przestachem i szczeka na mnie jakby z wyrzutem.

„Ach! nędzna sobako, gdybym ci dał paczkę gnoju, węszyłbyś go z rozkoszą, a może i pożarł. A tak, i ty nawet niegodny towarzyszu mojego smutnego życia, podobny jesteś do tłumu, któremu nie trzeba nigdy dawać delikatnych wonności, bo go rozjątrzają, ale śmiecie starannie wybrane“.

IX.

ZŁY SZKLARZ.

◀ **S**A natury czysto myślące i zupełnie niezdolne do czynu, które jednak z popędu tajemnego i nieznanego, działają czasem z popędliwością, której się sami po sobie nie spodziewali.*

Naprzykład taki, który z obawy znalezienia u stróża smutnej wiadomości, wałęsa się tchórzliwie przed drzwiami, nie śmiejąc wejść, taki co nosi dwa tygodnie nieotwarty list przy sobie, lub taki, który zdobywa się na zrobienie kroku, od roku już potrzebnego, dopiero przy końcu szóstego miesiąca, tacy ludzie czują się nieraz jak strzała z łuku gwałtownie rzućeni do czynu przez siłę jakąś nieodpartą. Moralista i lekarz, którzy utrzymują, że wszystko wiedzą, nie umieją wytłumaczyć, skąd się bierze w tych leniwych i obłęsnych duszach nagle ta szalona energia, i jak niezdolne do spełnienia najpro-

stszych i najpotrzebniejszych rzeczy, znajdują w jednej chwili odwagę zbytnią do wykonania czynów niedorzecznych, a często nawet najniebezpieczniejszych.

Jeden z moich przyjaciół, najnieškodliwszy marzyciel jaki może być, podpalił raz las, by się przekonać, mówił, czy ogień chwyta tak łatwo, jak to utrzymują ogólnie. Dziesięć razy z rzędu doświadczenie chybiło; ale jedenasty udało się aż zanadto.

Inny znowu zapali cygaro obok beczki z prochem, *aby widzieć, aby wiedzieć, aby kusić przeznaczenie*, aby się zmusić do pokazania odwagi, aby udawać zuchę, aby poznać przyjemność trwogi, dla niczego, przez kaprys, dla zabicia czasu.

To jest rodzaj energii, który tryska z nudy i marzycielstwa; a ci, u których się tak jaskrawo ujawnia, są w ogólności, jak już mówiłem, ze wszystkich istot najniedołężniejsi i najwięksi marzyciele.

Inny, nieśmiały tak dalece, że spuszcza oczy przed wzrokiem ludzi, tak dalece, że musi zebrać całą swoją biedną wolę, by wejść do kawiarni lub przejść obok biura teatru, którego kontrolorzy zdają mu się przyodziani w majestat Minosa, Eaka i Radamantha, przyskoczy

gwałtownie i chwyci za szyję staruszka przechodzącego mimo niego i uściska go z zapalem przed zdziwionym tłumem.

Dlaczego? Gdyż..., gdyż ta fizyognomia była mu nieprzewyciężenie sympatyczna? Może; ale słusniejsza przypuścić, że on sam nie wie dlaczego.

Ja sam byłem nieraz ofiarą tych przesileń i tych uniesień, które nam każą wierzyć, że duchy złośliwe w nas wchodzi i zmuszają nas do wykonania mimo wiedzy ich najniedorzeczniejszych zachcianek.

Pewnego ranka obudziłem się zadąsany, smutny, znużony gnuśnością i usposobiony, jak mi się zdawało, do zrobienia czegoś wielkiego; i otworzyłem niestety okno!

(Zważcie proszę, że zmysł do oszukiwania, które u pewnych osób nie jest wynikiem namysłu ani rozumowania, lecz przypadkowego natchnienia, zależy wiele, bodaj ze względu na żywość żądz, od tego usposobienia, hysterycznego podług lekarzy, satanicznego podług tych, co myślą trochę lepiej od lekarzy, które nas popycha nieodparcie do mnóstwa czynów niebezpiecznych, albo niestosownych).

Pierwszą osobą, którą zobaczyłem na ulicy, był szklarz, którego krzyk przenikliwy i niemły

doszedł aż do mnie przez ciężką i brudną atmosferę paryską. Nie umiałbym zresztą powiedzieć, czemu naraz uczułem nienawiść nagłą i nieubłaganą na widok tego biednego człowieka.

— „Hej! hej!“ zawołałem go, by przyszedł na górę. Tymczasem myślałem nie bez pewnej uciechy o tem, że pokój mój jest na szóstym piętrze a schody są bardzo wąskie, a więc ten człowiek będzie musiał niemało trudów ponieść przy wchodzeniu i zawadzić w kilku miejscach na skrętach schodów kruchym kramikiem.

Wreszcie wszedł; obejrzałem ciekawie wszystkie jego szkła i powiedziałem mu: „Jako! nie macie szkieł kolorowych? szkieł czerwonych, różowych, niebieskich, szyb magicznych, szyb rajskich? Jakiż ty jesteś bezwstydnym! śmiesz się wałęsać po dzielnicach ubogich i nie masz nawet szyb, przez które się widzi życie w piękności!“ I pchnąłem go żywo ku schodom, na których się potykał, mruczając.

Poszedłem na balkon, wziąłem mały wazonik i gdy ten człowiek ukazał się w drzwiach, spuściłem prostopadle ten pocisk na tylny brzeg jego noszów; a on przewracając się pod ciosem, zmiażdżył grzbietem cały swój mizerny, przenośny majątek, który wydał dźwięk donośny,



jak gdyby pałac kryształowy został strzaskany piorunem.

I pijany wściekłością krzychałem dziko: „Życie w piękności! życie w piękności!“

Te żarty nerwowe są zgubne i trzeba je nieraz drogo okupić. ✧Ale mniejsza o *wieczne potępienie* , gdy się znajdzie w jednej sekundzie *nieskończoność uciechy!* ✧

X.

O PIERWSZEJ PRZEDEDNIEM.

NARESZNIE! jestem sam! Nie slychać już nic prócz słabego turkotu kilku zapóźnionych i znużonych dorózek. Będziemy mieli kilka godzin ciszy, jeżeli nie wypoczynku. Nareszcie skończyła się tyrania ludzkiego oblicza, i jeśli cierpieć będę, to już tylko przez siebie samego.

Nareszcie! oto wolno mi wytchnąć, nurzając się w ciemnościach! Przedewszystkiem zamek na dwa spusty. Zdaje mi się, że to obrócenie klucza wzmoże mą samotność i utwierdzi zapory, które mnie od świata dzielą obecnie.

Paskudne życie! Paskudne miasto! Przebiegnijmy w myśli cały dzień: widziało się z kilku literatami, z których jeden pytał, czy można do Rosyi zajechać drogą lądową (zapewne wyobrażał sobie, że Rosya jest wyspą); dysputowało się walecznie z redaktorem Prze-

glądu, który na każdy zarzut odpowiadał: „Tutaj jest stronnictwo porządnych ludzi“, dając tem do zrozumienia, że wszystkie inne dzienniki są redagowane przez samych nicponiów; pozdrowiło się ze dwadzieścia osób, z tego piętnaście nieznanych zupełnie; rozdało się tę samą ilość uścisków ręki, nie zwracając na to uwagi, że trzeba było kupić rękawiczki; poszło się dla zabicia czasu podczas ulewy do komediantki, która prosiła aby jej narysować kostyum *Wenustry*; umizgało się do dyrektora teatru, który powiedział na odchodnem: „Możeby dobrze było, gdyby się pan udał do Z...; to jest najcięższy, najgłupszy i najślawniejszy ze wszystkich moich autorów; z nim może dojdiesz pan końca. Zobacz się pan z nim, a potem zobaczymy“; chełpiło się (dlaczego?) kilkoma brzydkimi, w istocie nigdy nie popełnionymi czynami, a wypierało się tchórzliwie innych niecnych postępków, z ochotą popełnionych, występków z fanfaronady, zbrodni wobec opinii ludzkiej; odmówiło się przyjacielowi łatwej przysługi, i dało się piśmienną rekomendacyę skończonemu łotrowi; uf! czy na tem koniec?

Niezadowolony ze wszystkich i niezadowolony ze siebie pragnąłbym w milczeniu i sa-

motności nocy oczyścić się i zasłużyć trochę na lepsze wyobrażenie o samym sobie. Dusze tych, które kochałem, dusze tych, które opiewałem, pokrząpcie mnie, wspomóżcie mnie, oddalcie odemnie kłamstwo i trujące wyziewy świata; a Ty, Panie mój, Boże! użyż mi łaski, bym mógł napisać kilka ładnych wierszy, które by mi dowiodły, że nie jestem ostatnim między ludźmi, że nie jestem niższy od tych, którymi gardzę.

XI.

DZIKA KOBIETA I WYPIESZCZONA DAMA.

ZAISTE, moja kochana, męczysz mnie bez miary i litości; gdyby kto słyszał twoje westchnienia, powiedziałby, że cierpisz więcej niż sześćdziesięcioletnie zbieraczki kłósków i stare żebraczki, które zbierają skórki z chleba przed drzwiami gospody.

Gdyby przynajmniej twoje westchnienia były oznaką wyrzutów sumienia, robiły by ci jakiś zaszczyt; ale one wyrażają tylko sytość wygody i nadmiar spoczynku. A dalej rozwlekasz się ustawicznie w niepotrzebnych słowach: „Kochaj mnie bardzo! ja tego tak potrzebuję! Pociesz mnie teraz — popieść mnie znowu!“ Czekaj! spróbuję cię uleczyć; może znajdziemy środek za dwa sody, na kiermaszu, nie idąc bardzo daleko.

Przypatrzmy się dobrze, proszę cię, tej

mocnej klatce żelaznej, w której rzuca się wyjąc jak potępiony, wstrząsając prętami jak orangutan zrozpaczony wygnaniem, naśladowując świetnie koliste skoki tygrysa, lub ciężkie drepce nie białego niedźwiedzia, ten potwór kosmaty, którego kształty są trochę podobne do twoich.

Ten potwór jest jednym z tych zwierząt, do których się mówi powszechnie „mój aniele!“ to znaczy kobietą. Drugi potwór, ten co krzyczy na całe gardło, z pałką w ręku, jest jej mężem. Zamknął swoją prawowitą małżonkę jak zwierzę i pokazuje ją w dniu jarmarczne po przedmieściach, rozumie się za pozwoleniem władzy.

Uważaj dobrze! Patrz z jaką ona żarłocznością (może nawet nieudaną!) rozdziera żywe króliki i wrzeszczący drób, który jej rzuca dozorca. „Hola! powiedział, nie trzeba zjadać całego zapasu w jednym dniu“; i po tem mądrym słowie wyrywa jej okrutnie zdobycz, której wnętrzości zmotane wiszą jeszcze przyćpione do zębów tego dzikiego zwierza... kobiety — chciałem rzec.

Hej-że! porządny raz pałką dla uspokojenia, bo oto błyska straszliwemi oczyma z chciwością za wydartem pożywieniem. Wielki Boże! ta pałka nie jest od zabawki; czy słysza-

łaś odgłos ciała, mimo przyprawionych kudłów? To też ślepiea aż ze łba jej wyłażą i ryczy teraz *naturalniej*. Od wściekłości iskrzy się aż cała jak żelazo na kowadle.

Takie są małżeńskie zwyczaje tego dwojga potomków Adama i Ewy, tych dzieł Twoich rąk, o mój Boże! Ta kobieta jest niezaprzeczenie nieszczęśliwa, chociaż przy tem wszystkim, może lehczące rozkosze sławy nie są jej obce. Są nieszczęścia, którym trudniej zaradzić — i więcej niepowetowane. Ale ona w świecie, w który rzucona została, nie mogła nigdy myśleć, że kobieta zasługuje na inny los.

A teraz pomówmy o sobie, drogi klejnocie! Widząc piekła, których świat jest pełen, cóż chcesz abym myślał o twojem ładnem piekielku, ty, co przeciągasz się tylko na tkani-
nach tak delikatnych, jak twoja skóra, co jesz tylko gotowane mięso, z którego zręczny służący stara się wykroić najlepsze kawałki dla ciebie?

I co mogą znaczyć dla mnie wszystkie te drobne westchnienia, któremi wzbiera twoja wonna pierś, tęga kokietko? I cała ta przesada wzięta z ksiązek, i ta niezmordowana melancholia, zdolna raczej natchnąć widza każdym innem uczuciem, niż litością? W istocie,

przychodzi mi czasem ochota dać ci poznać, co to jest prawdziwe nieszczęście.

Widząc cię tak, ty delikatna piękności, z nogami w błocie a z oczyma wzniesionemi mglisto ku niebu, jak gdybyś wyczekiwała stamtąd jakiego królewicza, rzec by się chciało zaiste: młoda żaba wzywająca ideału. Jeżeli pogardzasz szcurkiem (którym ja teraz jestem, jak wiesz dobrze), to strzeż się niedźwiedzia, który cię porwie, zgryzie i zabije dla swej przyjemności!

„Chociaż jestem poetą, nie jestem tak zaślepiony, jakbyś sobie ty tego życzyła, i jeżeli mnie będziesz męczyć za często swojemi *wytwornemi* płaksami, będę się z tobą obchodził jak z *kobietą dziką*, albo wyrzucę cię przez okno, jak próżną flaszkę.“

XII.

TŁUMY.

NIE każdemu dano nurzać się w mnóstwie: sztuką jest bawić się tłumem – i ten tylko może sobie urządzić kosztem rodzaju ludzkiego hulatykę życiową, komu jakaś wróżka w kołysce już zaszczerpiła skłonność do udawania i maskarady, wstręt do stałego miejsca pobytu i namiętność podróżowania.

Tłum, samotność: słowa dla poety czynnego i płodnego równoznaczne i zamiennie. Kto nie umie zaludnić swej samotności, tem mniej będzie umiał być samotnym w gwarnym tłumie.

Poeta cieszy się tym niezrównanym przywilejem, że może być do woli sam sobą i drugim. Jak te dusze błądzące, co szukają ciała, tak on wchodzi, gdy chce, w każdą osobistość.

Dla niego samego wszystko stoi otworem; i jeżeli niektóre miejsca zdają mu się zamknięte, to dlatego, że w jego oczach nie są warte trudu, by je zwiedzić.

Samotnik wałęsający się i zamyślony dziwnie się upaja tą powszechną komunią. Ten, co się z tłumem łatwo zaślubia, odczuwa rozkoszne dreszcze, których będzie wiecześnie pozbawiony egoista, zamknięty jak skrzynia, i leniwiec, zaskorupiały jak miękczak. Przyjmuje on za swoje wszystkie dole, wszystkie radości i wszystkie nędze, które okoliczności mu nasuują.

To, co ludzie nazywają miłością, jest bardzo małe, bardzo ograniczone i bardzo słabe, w porównaniu do tej niewymownej orgii, tej świętej prostytucyi duszy, która się oddaje cała ze swą poezją i czułością nieoczekiwanemu, co się ukazuje, nieznanemu, co przechodzi.

Dobrze jest pouczyć czasem szczęśliwców tego świata, chociażby tylko dla upokorzenia chwilowego ich głupiej dumy, że są szczęścia wyższe, rozleglejsze i więcej wyrafinowane. Założyciele kolonii, duszpasterze, kapłani, misjonarze wygnani na końcu świata, wiedzą coś bezwątpienia o tych tajemniczych upojeniach; i na łonie licznej rodziny, która się stała ich

Geniuszem, śmiać się mogą nieraz z tych, którzy ich żalują, że dola ich taka burzliwa i życie tak czyste.

XIII.

WDOWY.

V AUVENARGUES mówi, że w ogrodach publicznych są aleje nawiedzane głównie przez upadłą ambicyę, przez nieszczęśliwych wynalazców, przez niedoszłe sławy, przez złamane serca, przez wszystkie te dusze burzliwe i zamknięte, w których mruczą jeszcze ostatnie westchnienia burzy i które unikają zdaleka zuchwałego wzroku próżnujących i zadowolonych. Te cieniste ustronia są punktem zbornym dla złamanych życiem.

To też poeta i filozof przedewszystkiem w te miejsca zwracają najchętniej chciwe domysły. Tam jest pewny pokarm. Gdyż, jeżeli jest miejsce, którego zwiedzaniem gardzą, jak zawsze przypuszczałem, to jest właśnie miejsce radości bogatych. To wyuzdanie w znikomości nie

ma dla nich nic pociągającego. Przeciwnie, czują oni nieprzeparty pociąg ku wszystkiemu, co słabe, zniszczone, zasmucone, osierocone.

Wprawne oko nie myli się w tem nigdy. W tych rysach surowych lub znękanych, w tych oczach zapadłych i zamglonych, albo świecących ostatnimi błyskami walki, w tych zmarszczkach głębokich i licznych; w chodzie powolnym i urywanym, odczytuje zaraz niezliczone legendy o zdradzonej miłości, o poświęceniu zapoznanem, o wysiłkach nie nagrodzonych, o głodzie i zimnie, znoszonem pokornie i w milczeniu.

Czy zauważyliście kiedy na tych samotnych ławkach biedne wdowy? Czy to w żałobie, czy nie, łatwo je rozpoznać. Zresztą w żałobie ubogiego jest zawsze jakiś niedobór, brak harmonii, który jeszcze więcej serce rozdziera. Musi on skąpić swej boleści. Bogaty nosi ją w wielkim komplecie.

Któraż z wdów jest smutniejsza i więcej zasmucająca: ta, co ciągnie za rękę malca, z którym nie może się podzielić myślami, czy ta, co jest zupełnie sama? Nie wiem...

Zdarzyło mi się raz iść przez parę długich godzin za jedną nieszczęśliwą staruszką tego rodzaju: sztywna, wyprostowana, w małym zni-

szczonym szalu, miała w całej swojej istocie dumę niezachwianą.

Widocznie była skazana przez zupełną samotność na przyzwyczajenia starego kawalera, i charakter męski tych obyczajów nadawał coś oryginalnie tajemniczego ich surowości. Nie wiem, w której nędznej kawiarni i w jaki sposób jadła ona śniadanie. Szedłem za nią aż do czytelnicy, i śledziłem długo, jak szukała w dziennikach ruchliwemi, niegdyś palonemi przez łzy oczyma, wiadomości ważnych i osobistych.

W końcu jednego popołudnia pod uroczem niebem jesiennem, tem niebem, z którego zstępują tłumnie żale i wspomnienia, usiadła sobie na uboczu w ogrodzie, aby słuchać daleko od tłumy koncertu, którym muzyka pułkowa raczy ludność paryską.

Jest to niewątpliwie mały zbytek tej starszki niewinnej (albo tej starszki *oczyszczonej*), dobrze zasłużone pocieszenie po tych dniach ciężkich, bez przyjaciela, bez rozmowy, bez radości, bez powiernika, którym Bóg kazał spadać na nią może już od lat! trzysta sześćdziesiąt pięć razy do roku.

I jeszcze jedna:

Nie mogę się nigdy powstrzymać, aby nie rzucić okiem, jeśli już nie sympatycznym wogóle,

to przynajmniej ciekawem, na tłum nędzarzy, którzy się cisną dokoła ogrodzenia na publicznym koncercie. Orkiestra rzuca skrót nocy śpiewy uroczyste, tryumfalne albo rozkoszne. Suknie wloką się i błyszczą; spojrzenia się krzyżują; próżniacy znużeni bezczynnością drepcą, udając z niedbałością, że ich muzyka nie zajmuje. Tutaj tylko bogactwo, szczęście, nic, coby nie oddychało i nie upajało się beztroską i rozkoszą oddania się życiu; nic, z wyjątkiem tej zgrai tam, opartej o baryerę zewnętrzną i chwytającej darmo na wolę wiatrów rzucone strzępy muzyki i patrzącej na to błyszczące rozpromienione wnętrze.

Jest zawsze rzeczą zastanawiającą to odbicie radości bogacza w głębi oka nędzarza. Ale owego dnia poprzez tłumy ubrane w bluzy bawełniane zobaczyłem istotę, której wytworność tworzyła rażący kontrast z całą trywialnością wokoło.

Była to kobieta wysoka, wspaniała i tak szlachetna w całym wyglądzie, że nie przypominam sobie, abym widział podobną w całej kolekcji minionych piękności arystokratycznych. Cała jej osoba tchnęła wonią wyniosłej cnoty. Twarz jej smutna i wychudła dostrajała się wybornie do ciężkiej żałoby, którą miała na

sobie. Ona także, jak motłoch, do którego się wmięszała, a którego nie widziała, patrzyła na ten jasny świat głębokiem okiem i słuchała, wstrząsając lekko głową.

Szczególne zjawisko! „Zaiste, – powiedziałem sobie, – ten niedostatek, jeśli to w ogóle jest niedostatek, nie powinienby chyba łączyć się z brudną oszczędnością; ta szlachetna twarz przekonywa mnie o tem. Dlaczego więc pozostaje dobrowolnie w miejscu, gdzie tworzy taką rażącą plamę?”

Ale przechodząc ciekawie koło niej, odgadłem przyczynę, zdaje mi się. Ta imponująca wdowa trzymała za rączkę dziecko, tak jak ona czarno ubrane; choć cena wstępu była bardzo niska, ta cena wystarczała zapewne, aby opłacić jakąś potrzebę tej małej istotki, więcej nawet, zbytek, zabawkę.

I powróci pieszo, rozmyślając i marząc sama, zawsze sama; gdyż dziecko jej swawolne, egoistyczne, niewyrozumiałe i niecierpliwe, i nie może nawet tak jak proste zwierzę, jak pies i kot, być powiernikiem w boleściach samotnych.

XIV.

STARY KUGLARZ.

TŁUM próżniaczy na wszystkie strony się rozlewał, rozciągał i skakał z uciechy. Była to jedna z tych uroczystości, na które długo już naprzód liczą kuglarze, linoskoczki, pokazywacze zwierząt i wędrowni kramarze, aby sobie wynagrodzić liche zarobki w ciągu roku.

W tych dniach, zdaje mi się, zapomina ten ludek o wszystkim, o boleści i pracy; staje się podobny dzieciom. Dla malców jestto dzień rekreacji, dzień wyzwolenia się od strachu szkoły na dwadzieścia cztery godzin. Dla dorosłych jestto rozejm, zawarty ze złocynnemi potęgami życia, wypoczynek wśród zatargów i powszechnych zapasów.

Nawet człowiek światowy i człowiek oddany pracy umysłowej z trudnością uchylają się od wpływu tej uciechy pospółstwa. Wchłā-

niają oni mimowoli również tę atmosferę beztroski. Co do mnie, jako prawdziwy paryżanin, nie omieszkam nigdy zwiedzić wszystkich bud, które się wznoszą w tych uroczystych epokach.

Robiły sobie w istocie straszną konkurencyę; piszczwały, ryczały, wyły.

Była to mieszanina krzyków, wystrzałów moździerzy i wybuchów rakiet. Dudki i gamonie wprawiali w konwulsyjne drgania twarze smagłe, stwardniałe od wiatru, deszczu i słońca — i rzucali z zaufaniem aktorów pewnych efektu, dowcipy i żarty o komizmie grubym i ciężkim, jak molierowski. Jarmarczni herkulesi, dumni ze swych potężnych muskułów, bez czoła i czaszki, jak orangutangi, pysznili się majestatycznie w szmatach świeżo na tę uroczystość wypranych. Baletnice, uroczę jak boginie lub księżniczki, podrygiwały, podskakiwały przy świetle latarni, które zasypywało gwiazdkami ich spódniczki.

Wszystko było światłem, kurzem, krzykiem, radością, zamętem; jedni wydawali, drudzy zarabiali, jedni i drudzy równie zadowoleni. Dzieci czepiały się sukni matki, aby dostać laseczkę cukru, albo też gramoliły się na plecy ojca, by lepiej widzieć kuglarza, jaśniejącego

jak jaki bóg. I wszędzie unosiła się ponad wszystkimi innymi zapachami woń potu, która była niejako kadzidłem tej uroczystości.

Na końcu, na samym końcu szeregu tych baraków, zoczyłem biednego kuglarza, który, jak gdyby wzgardzony i wygnany sam jeden z tych wszystkich świetności, zgarbiony, marny, wynędzniały, istna ruina człowieka, stał, opierając się o słup swej budy, budy mizerniejszej od szałasu najnędzniejszego dzikiego, i której smutek jeszcze bardziej występował w blasku dwóch kawałków płonącej i topiącej się świecy.

Wokoło radość, zysk, rozpusta, wokoło pewność chleba na jutro, wokoło szalone rozhułkanie sił żywotnych. Tutaj zupełna nędza, nędza przyodziana dla większej jeszcze okropności w śmieszne lachmany, których pstrokacizna była wyrazem raczej niedostatku, niż sztuki. On nie śmiał się, ten biedak! On nie płakał, nie tańczył, nie wywijał rękami, nie krzyczał; on nie śpiewał piosnki ni wesołej, ni bolesnej, on nie zebrał. Był niemy i nieruchomy. Poddał się, wyrzekł się już wszystkiego. Jego los był rozstrzygnięty.

Ale jakimże głębokim, niezapomnianym wzrokiem wodził po tym tłumie i po tych

światłach, których ruchoma fala zatrzymywała się o kilka kroków przed jego odstręczającą nędzą! Uczułem, że gardło moje ścisła straszna dłoń spazmu, i zdało mi się, że spojrzenie moje ćmi się zbuntowanemi łzami, które spaść nie chcą.

Co począć? Na cóż pytać nieszczęśliwego, jakie dziwa, jakie osobliwości ma do pokazania w tych cuchnących ciemnościach, za tą poszarpaną zasłoną? Nie śmiałem, prawdziwie; i choć powód mojej nieśmiałości może was rozśmieszyć, przyznam się, że obawiałem się go upokorzyć. W końcu postanowiłem położyć mimochodem jakiś pieniądz na jednej z tych desek, przypuszczając, że odgadnie myśl moją, gdy wtem odciągnął mnie daleko od niego silny przyływ ludzi, spowodowany nieznanem mi zamieszanem.

I wracając, opętany tem widmem, próbowałem zanalizować moją nagłą boleść i powiedziałem sobie: „Widziałem obraz starego literata, co przeżył pokolenie, któremu był świetnością i podziwem; starego poety bez przyjaciół, bez rodziny, bez dzieci, zeschniętego przez nędzę i ludzką niewdzięczność, do którego budy — łatwo zapominający świat wejść już nie chce!”

XV.

PLACEK.

PODRÓŻOWAŁEM. Okolica, wśród której się znajdowałem, miała w sobie jakiś majestat i podniosłość, której się trudno było oprzeć. Coś z tego przeszło w tej chwili do mej duszy. Myśli me wzbijały się z lekkością atmosfery: pospolite namiętności, jak nienawiść i świecka miłość, wydawały mi się obecnie tak dalekie, jak te tłumy snujące się na dnie przepaści pod memi nogami; ma dusza zdała mi się taka czysta i szeroka, jak kopuła nieba, która mnie okrążała; wspomnienie rzeczy ziemskich przychodziło do mnie osłabione i zmniejszone, jak dźwięk dzwonków niedostrzegalnego bydła, które się pasło daleko, bardzo daleko, na stoku drugiej góry. Po małym, nieruchomym jeziorku, czarnem od niezmiernej głębi, przesuwał się niekiedy cień chmury, jakby od-

bicie płaszcza powietrznego olbrzyma przelatującego przez niebo. I przypominam sobie, że to szczególne i uroczyste zjawisko ogromnego ruchu, odbywającego się w najzupełniejszej ciszy, sprawiało mi równocześnie przyjemność i trwogę. Słowem, byłem w doskonałej zgodzie z sobą i ze światem, dzięki zachwycającej piękności, która mnie wkoło otaczała; zdaje mi się nawet, że w nadzwyczajnej błogości i przy zupełnem zapomnieniu wszelkiego bólu ziemskiego, doszedłem do tego, iż mi się już nie wydawały śmiesznymi dzienniki, utrzymujące, że człowiek urodził się dobrym. — W tem niepoprawne ciało przypominało się z swemi żądaniami: zacząłem myśleć o pokrzepieniu sił i uśmierzeniu głodu, wywołanego tak długim pochodem w górę. Wyjąłem z kieszeni duży kawał chleba, kubek skórzany i flaszkę jakiegoś ekstraktu, który aptekarze sprzedawali w owym czasie turystom, aby go w razie potrzeby mieszać z wodą ze śniegu.

Krajałem sobie spokojnie chleb, gdy wtem lekki szmer zwrócił moją uwagę. Przedemną stało małe stworzonko w łachmanach, czarne, rozczochrane, które zapadłemi oczyma, dzikiem i jakby błagalniemi, pochłaniało kawałek mego chleba. I usłyszałem, jak westchnęło gło-

sem cichym i ochrypłym słowo: placek! Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu, słysząc nazwę, która była zaszczytem dla mego nieco jaśniejszego chleba, i odkroiwszy dużą kromkę, podałem mu ją. Malec zbliżył się powoli, nie spuszczać wzroku z przedmiotu swej pożądlivości: następnie, porwawszy kromkę w rękę, odskoczył żywo, jakgdyby się obawiał, że moja ofiara nie jest szczerą, albo, że już jej żałuję.

Ale w tejże chwili został obalony przez innego małego dzikusa, który się nie wiedzieć skąd zjawił, a był tak ogromnie podobny do pierwszego, że możnaby ich wziąć za bliźnięta. Razem potoczyli się po ziemi, wrywając sobie drogocenną zdobycz, gdyż żaden nie chciał widocznie zrzec się połowy dla brata. Pierwszy, zdyszany, wplótł się całą garścią drugiemu we włosy; ten zaś chwycił go zębami za ucho, i wypluł skrwawiony odgryzek ze wspamiętałem miejscowem przekleństwem. Prawowity właściciel placka usiłował zatopić małe pazurki w oczach przywłaszczyciela; z kolei ten znowu użył wszystkich sił, by zdusić przeciwnika jedną ręką, podczas gdy drugą starał się wsunąć w kieszeń łup wojenny. Lecz zwyciężony, któremu rozpacz sił dodała, wyprostował się, i uderzywszy zwycięzcę głową w brzuch,

potoczył go po ziemi. Ale na cóż opisywać tę wstrętną walkę, która rzeczywiście trwała dłużej, niżby się tego można po dziecinnych siłach spodziewać? Placek przechodził z ręki do ręki i zmieniał przy tem objętość; i gdy w końcu, wyczerpani, zdyszani, zakrwawieni, zatrzymali się, nie mogąc dalej walczyć, nie było już, prawdę powiedziawszy, i przedmiotu spornego: kawałek chleba zniknął, rozsypawszy się w okruszynki, podobne do ziarenek piasku, z którymi się zmieszał.

Ten widok zamglił mi krajobraz, i spokojna uciecha, w której się rozkoszowała moja dusza nim zobaczyłem tych malców, znikła zupełnie; byłem smutny dość długo, powtarzając sobie ciągle: „Jednak istnieje cudowny kraj, gdzie chleb nazywa się plackiem i jest tak cennym przysmakiem, że wystarcza do wywołania prawdziwie bratobójczej wojny“.

XVI.

ZEGAR.

CHIŃCZYCY poznają godzinę po oczach kota. Pewnego dnia jeden misyonarz, przechadzając się po ulicach Nankinu, spostrzegł, że zapomniał zegarka, i zapytał się jakiegoś małego chłopca, która godzina.

Ulicznik niebieskiego państwa zawahał się z początku; później namyśliwszy się, odpowiedział: „Zaraz panu powiem“. Za małą chwilę zjawił się, trzymając w rękach tęgiego kota, i wpatrując się mu, jak to mówią, w same ślepia, rzekł bez wahania: „Jest już koło południa“. I była to prawda.

Co do mnie, to gdy się pochylę nad moją piękną Kocią, która tak słusznie to imię nosi, a jest zarazem ozdobą swej płci, dumą mego serca i wonią mego ducha, — czy to w nocy, czy we dnie, w pełnym blasku, czy w nieprze-

niknionym mroku, w głębi jej uwielbianych oczu widzę zawsze dokładnie godzinę szeroką, uroczystą, wielką jak przestrzeń, bez podziału minut i sekund, — godzinę nieruchomą, której na zegarach próżno szukać, a jednak lekką jak westchnienie, szybką jak mgnienie oka.

A gdyby jaki natręt naszedł mnie, podczas gdy mój wzrok spoczywa na tym rozkoszonym zegarze, gdyby jaki nieżyczliwy i niewyrozumiały geniusz, jaki demon przekorny przyszedł i powiedział: „Czemu tak patrzysz tam pilnie? Czego szukasz w oczach tej istoty? Czy widzisz tam godzinę, śmiertelniku marnotrawny i beczynny?“ — odpowiedziałbym bez wahania: „Tak, widzę godzinę: to jest Wieczność!“

Nieprawdaż pani, że to jest prawdziwie zastanawiający madrygał, i tak przesadny jak ty sama? W istocie, tyle miałem przyjemności, haftując ten pretensjonalny komplement, że nic już w zamian nie żądam.

XVII.

PÓŁ ŚWIATA WE WŁOSACH.

O! daj mi długo, długo wdychać woń twoich włosów, zatopić w nich całą twarz, jak człowiek spragniony w wodzie źródlanej, i powiewać niemi w rękę, jak chusteczką woniącą, żeby wznieść wspomnienia w powietrzu.

Gdybyś ty mogła widzieć wszystko to, co ja odczuwam w twoich włosach! Moja dusza płynie na falach woni, jak dusza innych ludzi na falach muzyki!

Twoje włosy zawierają w sobie cały sen, pełen masztów i żagli, zawierają wielkie morza, których wiatry niosą mnie ku cudnej krainie, gdzie przestwór jest błękitniejszy, głębszy, gdzie powietrze przepelnione wonią owoców, liści i ludzkiej skóry.

W oceanie twoich włosów majaczy mi przystań rojna od smętnych śpiewów, od ludzi

krzepkich wszelkiej narodowości i od okrętów o rozmaitych kształtach, zarysowujących się wytworną i skomplikowaną strukturą na niezmiernem niebie, kędy się rozsiadł wieczysty upał.

W pieśczołach twych włosów odnajduję tęsknotę długich godzin, spędzonych na sofie w kajucie pięknego okrętu, kołysanych nieznanym falowaniem portu, między wazonami kwiatów i odświeżającymi garguletami.

W płomiennej czeluści twych włosów odycham wonią tytoniu, zmieszanego z opium i z cukrem; w nocy twych włosów widzę jaśniejącą nieskończoność tropikalnego lazuru; na puszystych wybrzeżach twych włosów upajam się skomplikowaną wonią smoły, piżma i kokosowej oliwy.

Daj mi kąsać długo twe warkocze ciężkie i czarne. Gdy tak gryzę twe elastyczne i niesforne włosy, zdaje mi się, że zjadam wspomnienia.

XVIII.

WEZWANIE DO PODRÓŻY.

MÓWIA, że jest cudny kraj, kraj płynący mlekiem i miodem, który pragnąłbym zwiedzić z jaką dobrą przyjaciółką. Dziwny to kraj, tonący w mgłach naszej północy, który nazwać by można Wschodem Zachodu, Chinami Europy, tak dalece rozigrała się na nim ciepła i kapryśna fantazya, tak go skrzętnie i wiernie uświetniła wymyślną i delikatną roślinnością.

Prawdziwy to kraj obfitości, gdzie wszystko jest piękne, bogate, spokojne, szlachetne; gdzie zbytek z uciechą przegląda się w porządku; gdzie życiem się oddycha wygodnie i słodko; skąd nieład, burzliwość i nieprzewidzianość są wykluczone; gdzie szczęście jest ożenione z milczeniem; gdzie kuchnia nawet jest poetyczna, tłusta i ostra zarazem; gdzie wszystko tobie jest podobne, mój drogi aniele.

Wszak znasz tę chorobę gorączkową, co owłada nami w zimnej nędzy, tę tęsknotę do kraju, którego się nie zna, ten niepokój ciekawości! Jest to kraina, która jest tobie podobna, gdzie wszystko jest piękne, bogate, spokojne i szlachetne, gdzie fantazyja zbudowała i przystroiła sobie Chiny zachodnie, gdzie życiem słodko oddychać, gdzie szczęście jest ożenione z milczeniem. Tam tylko żyć, tam tylko umierać!

Tak, tam tylko oddychać, marzyć i przedłużać godziny przez nieskończoność wrażeń. Pewien muzyk napisał *Wezwanie do walca*: któż stworzy *Wezwanie do podróży*, któreby można ofiarować kobiecie ukochanej, siostrze z wyboru?

Tak, w tej to atmosferze byłoby dobrze żyć, tam, gdzie w godzinach opieszających więcej myśli się zmieści, gdzie zegary wydzwaniają szczęście głębiej, dobitniej i uroczyściej.

Prawdziwie kraj obfitości, powiadam ci, gdzie wszystko jest bogate, nieskalane i lśniące, jak czyste sumienie, jak wspaniałe sprzęty kuchenne, jak świetne złoto, jak pstre klejnoty! Skarby świata tu napływają, jak w dom człowieka pracowitego, który się dobrze całemu światu zasłużył. Kraj szczególny, wyższy od

innych, jak Sztuka od Natury, gdzie pierwsza marzeniem przeistoczona, a druga poprawiona, upiększona, przerobiona.

Niechaj szukają, niechaj szukają jeszcze, niechaj odsuwają bez przestanku kres swego szczęścia ci alchimiści ogrodnictwa! Niech ogłoszą nagrodę sześćdziesięciu i stu tysięcy florenów dla tego, kto rozwiąże ich ambitne zagadnienia! Ja znalazłem mój *tulipan czarny*, i moją *dalię niebieską*!

Kwiecie niezrównany, tulipanie znaleziony, alegoryczna dalio, tam, nieprawdaż, w tym pięknym kraju tak cichym i marzącym, tam warto żyć i kwitnąć? Czyż nie określi cię dobrze ta analogia, czyż nie będziesz się mogła przejrzeć, mówiąc językiem mistyków, w tym swoim własnym *sobowtórze*?

Marzenia, jeszcze marzenia! im ambitniejsza i delikatniejsza jest dusza, tem więcej marzenie odrywa ją od możliwości. Każdy człowiek nosi w sobie dawkę przyrodzonego opium, która się nieustannie wydziela i odnawia; a ileż liczymy od kolebki do grobu godzin, wypełnionych przez rozkosz rzeczywistą i przez działanie pomyślne i świadome? Będziemyż tam kiedy żyć, zabłądzimyż kiedy w tą krainę,

której obraz duch mój ci odmalował, obraz tak podobny tobie?...

Te skarby, te sprzęty, ten zbytek, ten ład, te wonie, te bajeczne kwiaty, to ty. Te wielkie rzeki i te spokojne kanały, to jeszcze ty, a te ogromne okręty mknące, przeladowane bogactwami, z których dolatuje monotony śpiew podczas ćwiczeń, to są moje myśli, które śpią, albo suwają się po twojej piersi. Ty je wiedziesz słodko ku morzu nieskończoności, odbijając bezdeń nieba w kryształ swej pięknej duszy; — a gdy zmęczone falą i ładunkiem płodów dalekiego Wschodu, powracają do rodzinnej przystani, to jeszcze są moje myśli, wzbogacone, które wracają z nieskończoności do ciebie.

XIX.

ZABAWKA BIEDAKA.

CHCIAŁBYM dać obraz niewinnej rozrywki. Tak mało jest zabaw, które by nie były występne!

Jeżeli wyjdiesz rano z stanowczym zamiarem bląkania się po drogach, napelnij kieszenie drobnymi groszowymi zabawkami, — takimi jak płaski pajac poruszany na nićce, kowal bijący w kowadełka, rycerz na koniu z piśczątką w ogonie, — i obdaruj tem nieznane i biedne dzieci, które spotkasz koło karczem pod drzewami. Zobacysz, jak ich oczy szeroko się roztworzą. Z początku nie będą śmiały wziąć tego; nie zechcą wierzyć swemu szczęściu. Później szybko w ręce pochwycą podarek i uciekną z nim, podobnie jak to robią koty, które nauczone nieufności względem człowieka, odbiegają daleko, by jeść dany im kęs.

Przy drodze, poza bramą wielkiego ogrodu, skąd błyszczała biel pięknego pałacyku olśnionego słońcem, stało ładne i hoże dziecko, ubrane w sukmankę wiejską tak pełną kokieteryi.

Zbytek, dogadzanie i codzienny widok bogactwa czynią te dzieci tak pięknymi, iż nie chce się wierzyć, aby były z tej samej gliny, co dzieci ludzi z groszem się liczących lub biednych.

Obok niego leżała na trawie prześliczna lalka, świeżutka jak jej mały właściciel, lakierowana, złocona, ubrana w czerwoną sukienkę i pokryta piórkami i szkiełkami. Ale dziecko nie zajmowało się tem ulubionem cackiem, a oto na co patrzyło:

Z drugiej strony bramy, na drodze, między pokrzywami i ostami stało inne dziecko, brudne, nędzne, zamorusane, jedno z tych brudasków ulicy, w których bezstronne oko odkryłoby może piękność, podobnie jak oko znawcy zgaduje świetne malowidło pod pokostem lakiernika, gdyby obmyto z niego wstrętną pleśń nędzy.

Przez te symboliczne sztachety, rozdzielające dwa światy, gościniec i pałac, ubogie dziecko pokazywało dziecku bogatemu swoją zabawkę, na którą owo patrzyło zazdrośnie, jak

na przedmiot rzadki i nieznany. Otóż tą zabawką, którą ten mały brudas wstrząsał, podnosił i podrzucał w skrzyneczce zakratowanej, był żywy szczur! Rodzice, przez oszczędność zapewne, wzięli zabawkę wprost z życia.

I dwoje dzieci uśmiechało się do siebie po bratersku, ukazując ząbki jednakowej białości.

XX.

DARY BOGINEK.

WSZYSTKIE boginki zebrały się razem, aby przystąpić do rozdziału darów między niemowlęta, które od dwudziestu czterech godzin na świat przybyły.

Wszystkie te starożytne i kapryśne Siostry Przeznaczenia, wszystkie te dziwaczne Matki radości i boleści wielce się między sobą różniły: jedne miały wygląd posepny i kwaśny; inne szalony i złośliwy; jedne młode, które były zawsze młode; inne stare, które były zawsze stare.

Wszyscy ojcowie, co wierzą w boginki przyszli, przynosząc każdy noworodka na rękę.

Dary, Zdolności, szczęśliwe Przypadki, Okoliczności niepokonane, były nagromadzone obok trybunału, jak nagrody na estradzie przy rozdawaniu premii. Co szczególna, to, że Dary nie były nagrodą zasługi, ale całkiem przeci-

wnie łaską użyczoną temu, co jeszcze nie zaczął żyć, łaską mogącą stanowić o jego losie i stać się źródłem tak szczęścia jak i nieszczęścia.

Biedne boginki były bardzo zajęte, gdyż tłum proszących był wielki, a świat pośredni między człowiekiem i Bogiem jest poddany tak jak i my straszniemu prawu Czasu i jego nieskończonemu potomstwu Dni, Godzin, Minut, Sekund.

Rzeczywiście były one tak oszołomione, jak ministrowie w dzień audyencyi, lub urzędnicy Lombardu, gdy święto narodowe pozwala na wykupna bezpłatne. Zdaje mi się nawet, że patrzyły od czasu do czasu na wskazówkę zegaru z taką niecierpliwością, jak sędziowie ludzcy, którzy siedząc od rana, nie mogą się wstrzymać od marzenia o obiedzie, o rodzinie i o swoich drogich pantoflach. Jeżeli w wymiarze sprawiedliwości nadnaturalnej jest trochę uprzedzenia i trafu, to nie dziwny się, że bywa tak czasem i w wymiarze sprawiedliwości ludzkiej. W takim wypadku my sami bylibyśmy niesprawiedliwymi sędziami.

To też zdarzyło się tego dnia kilka grubych omyłek, które by można uważać za dziwaczne, gdyby zasadniczym, odwiecznym charakterem boginek była roztropność, a nie kaprys.

I tak zdolność magnetycznego przyciągania fortuny była przysądzona jednemu spadkobiercy bardzo bogatej rodziny, który kiedyś w przyszłości będzie zapewne w niemalym kłopotcie, co począć ze swemi milionami, gdyż nie został przytem obdarzony żadnym popędem do dobroczynności, a tem mniej jakąkolwiek chęcią korzystania z najdotykalszych bodaj dóbr życia.

Również miłość Piękna i Dar poetycki nadane zostały synowi nieokrzesanego obszarpańca, robotnika z zawodu, który nie mógł w żaden sposób dopomódz zdolnościom, ani zaspokoić potrzeb swojego nędznego potomstwa.

Zapomniałem powiedzieć, że rozdział w tych uroczystych chwilach jest nieodwołalny, i żaden dar nie może być odrzucony.

Wszystkie boginki podniosły się myśląc, że już odrobiły swoją pańszczyznę; gdyż nie było już żadnego daru, żadnej jałmużny do rzucenia temu narybkowi ludzkiemu, gdy wtem jakiś poczciwy człeczyna, biedny mały kupiec, zdaje mi się, podniósł się, i przytrzymując za suknię z różnokolorowej gazy najbliższej stojącą boginkę, zawołał:

„Ach! Pani! zapomniałaś o nas. Jest tu jeszcze mój malec! Ja nie chcę odchodzić z niczem“.

Boginka mogła być w kłopotcie; gdyż nie zostało już *nic*. Jednak przypomniała sobie w porę prawo dobrze znane, chociaż rzadko używane w świecie nadnaturalnym, zamieszkałym przez te nietykalne bóstwa, przyjazne człowiekowi, a zmuszone często stosować się do jego ułomności, jakoto Boginki, Gnomy, Salamandry, Sylfidy, Sylfy, Rusalki, Wodniki i Wodnice, — mam na myśli prawo, które przysługuje boginkom w podobnym jak ten wypadku, to znaczy, w razie wyczerpania losów, możliwości obdarowania jeszcze jednym, dodatkowym i wyjątkowym, byle tylko darząca miała dostateczną fantazyę, aby odrazu nowy dar wymyślić.

Więc dobra boginka odpowiedziała z przytomnością odpowiednią swemu stanowisku: „Daję twemu synowi . . . , daję mu . . . *Dar podobania się!*“

— Podobania, jakto? podobania? . . . podobania, dlaczego? — pytał natarczywie mały kupiec, który był niewątpliwie jednym z tych rezerów tak pospolitych, niezdolnych do wzniesienia się aż do logiki absurdu.

— Bo tak! bo tak! — odpowiedziała boginka rozgniewana, odwracając się tyłem do niego; i przyłączywszy się do orszaku swych towarzyszek, rzekła do nich: — „Jak się wam podoba

ten próżny Francuzik, co chce wszystko rozumieć, i który otrzymawszy dla swego syna najlepszy z losów, śmie jeszcze pytać i dociekać rzeczy niedocieczonych!“

XXI.

POKUSY, CZYLI EROS, PLUTUS I SŁAWA.

DWÓCH wspaniałych Szatanów i jedna, nie mniej uwagi godna Dyablica, weszli ubiegłej nocy po tajemniczych schodach, przez które Piekło naciera na słabość człowieka, co śpi, i udziela mu się tajemnie. Przyszli i stanęli z chwałą przedemną, jakby na podwyższeniu. Blask siarczysty bił od tych trzech postaci, które tak się kreśliły na ciemnym tle nocy. Wyglądały tak dumnie, tak pełne władzy, że uważałem je z początku wszystkie trzy za prawdziwych Bogów.

Twarz pierwszego Szatana była płci wątpliwej, w liniach jego ciała było coś z miękkości dawnych Bachusów. Jego piękne i tęskne oczy, o barwie cienistej i nieokreślnej, podobne były fiołkom przytłoczonym jeszcze ciężkimi łzami burzy, a jego nawpół otwarte wargi gorącej

kadzielnicy, z których wychodziła miła woń kadzideł; za każdym razem jak oddychał, piżmowe owady się rozświecały lecąc, w żarze jego tchnienia.

Naokoło jego purpurowej szaty, owijał się jakby pasek mieniący wąż, który podnosząc głowę, zwracał ku niemu omdlewająco swoje żarzące ślepie. Na tym żyjącym pasku wisały naprzemian, flaszeczki pełne zgubnych płynów, błyszczące noże i narzędzia chirurgiczne. W prawej ręce trzymał jakąś flaszeczkę, w której znajdowała się jakaś świecąca czerwień, i która miała na etykiecie te dziwne słowa: „Pijcie, to jest moja krew, kordyał doskonały“; w lewej skrzypce, na których wyśpiewywał zapewne swe rozkosze i bóle, rozszerzając zarazę swego szału w nocę sabatu.

U jego delikatnych kostek, u stóp wlokło się kilka ogniw przetarganego złotego łańcucha, a gdy tą przeszkodą zniewolony spuścił ku ziemi oczy, to poglądał z dumą na pazury u swych nóg, lśniące i gładkie jak dobrze obrobione kamienie.

Patrzył na mnie oczyma rozdzierająco smutnemi, z których jakieś podstępne oszołomienie się wydzierało, i rzekł do mnie śpiewającym głosem: „Jeśli chcesz, jeśli chcesz, ja cię uczy-

nię władzcą dusz, i będziesz panem temu co żyje, więcej jeszcze niż rzeźbiarz może być glinie; i poznasz rozkosz, nieustannie się odrażdżającą, wychodzenia z siebie samego, aby się zapomnieć w drugim, i przyciągania innych dusz, by je stopić z własną“.

A ja mu odpowiedziałem: „Stokrotne dzięki! nie wiedziałbym co robić z tym ładunkiem istot, które bez wątpienia nie są warte więcej od mojego biednego Ja. Chociaż ze wstrętem niejedno sobie przypominam, przecież nie chcę nic zapomnieć; i choćbym nawet ciebie nie znał stary potworze, twoje tajemnicze uzbrojenie, twoje podejrzone flaszeczki, łańcuch, który twe nogi pęta, są mi symbolami, wyjaśniającymi dość jasno niedogodności twej przyjaźni. Zachowaj swe podarunki“.

Drugi Szatan nie miał ani tej miny tragicznej i uśmiechniętej zarazem, ani tych ładnych, kokieteryjnych manier, ani tej piękności delikatnej i wonnej. Był to ogromny mężczyzna, o wielkiej twarzy bez ocz, którego ciężki brzuch zwieszał się aż na biodra, a cała skóra była wyzłocona i pomalowana, jakby wytatuowana, mnóstwem drobnych migotliwych figurek przedstawiających nędzę świata w jej niezliczonych postaciach. Byli tam mali, wychudli ludzie, co

się wieszali dobrowolnie na gwoździu; były małe gnomy niezgrabne, chude, których błagalne oczy więcej jeszcze dopominały się jałmużny, niż ich drżące ręce; a wreszcie stare matki ze zwieszonemi niedorodkami u wycięczonych piersi. I jeszcze wiele tam tego było.

Gruby Szatan klepał się pięścią po swym ogromnym brzuchu, skąd wychodził wtedy długi i rozlegający się dźwięk metalu, kończący się nieokreślonym jękiem licznych głosów ludzkich. I śmiał się, pokazując bezwstydnie zepsute zęby, wspaniałym śmiechem głupowatego, jak niektórzy ludzie z wszystkich krajów po zanadto obfitym obiedzie.

I ten mi rzekł: „Mogę ci dać to, co otrzymuje wszystko, to, co waży wszystko, to, co zastępuje wszystko!“ I poklepał się po swym potwornym brzuchu, którego brzmiące echo było komentarzem jego chełpliwych słów.

Odwróciłem się z niesmakiem i odpowiedziałem: „Nie potrzebuję dla własnej przyjemności nędzy niczyjej; i nie chcę bogactwa osmuconego, jakby tapetami, wszystkimi nieścześnieściami przedstawionymi na twojej skórze“.

Co do Dyablicy, to skłamałbym, jeślibym nie przyznał, że za pierwszym wejrzeniem znalazłem w niej dziwny urok. Aby określić ten

urok, nie mógłbym go porównać z niczem, jak tylko z urokiem bardzo pięknych już więdnących kobiet, co przestają się już starzeć, a piękność ich nabiera przenikającego czaru ruin. Była wspaniała i chwiejąca się zarazem, a oczy jej chociaż zmęczone, posiadały siłę czarodziejską. A co mnie uderzyło najwięcej, to tajemnica jej głosu, w którym odnalazłem przypomnienie najrozkoszniejszych *kontraltów*, a także trochę zachrypnięcia gardła przepłukiwanego nieustannie wódką.

„Czy chcesz poznać mą siłę? — rzecze przewrotna bogini swym wdzięcznym i paradoksalnym głosem. — Słuchaj“:

I przyłożyła wtedy do ust ogromną trąbę przystrojoną wstążkami jak fujarka, tytułami wszystkich dzienników świata, i przez tę trąbę wykrzyknęła moje imię, które rozleciało się wskroś przestworzy z hałasem stutysięcznych grzmotów i powróciło do mnie odesłane echem najdalszej planety.

„Do dyabła! rzekłem na wpół pokonany, to mi jest wspaniała rzecz!“ Ale gdy obserwowałem uważniej tę uwodzącą jędzę, zdawało mi się coś, że widziałem ją już raz, jak piła z kilkoma znajomymi hultajami; a chrapliwy dźwięk

miedzi przywiódł mi do uszów jakieś wspomnienie sprzedanej trąby.

Tedy odpowiedziałem z całą pogardą: „Precz! Ja nie jestem do tego, aby poślubiać nałożnice pewnych ludzi, których nazwać nie chcę“.

Zaiste, miałem prawo być dumnym z tak bohaterskiego zaparcia się. Ale niestety obudziłem się, i cała siła opuściła mnie. „Rzeczywiście, rzekłem sobie, musiałem być ciężko uśpionym, kiedy okazałem takie skrupuły. Ach! niechby powrócili podczas gdy czuwam, nie byłbym tak naiwny“!

I wzywałem ich na głos, błagając, by mi przebaczyli i obiecując im upadlać się tylekroć, jak tylko potrzeba, by zasłużyć na ich względy; ale musiałem ich widocznie bardzo obrazić, bo nie wrócili już nigdy.

XXII.

ZMIERZCH WIECZORNY.

DZIEŃ się ma ku schyłkowi. Wielkie ukojenie splywa na biedne umysły znużone pracą całodzienną; a myśli ich przybierają teraz miękkie i nieokreślne barwy mroku.

Jednak z wierzchołka góry dochodzi do mego balkonu poprzez obłoki przeźroczyste wieczoru, straszne wycie, złożone z mnóstwa krzyków niezgodnych, które przestrzeń zamienia w ponurą harmonię, podobną do harmonii przyływu, co wzrasta, lub burzy, co się budzi.

Co zacz są ci nieszczęśliwi, których wieczór nie uspakaja, i którzy uważają przyjście nocy, jak sowy, za hasło sabatu? To złowrogie zawodzenie przychodzi tu z czarnego szpitala uczeplonego na górze; a gdy wieczorem palę fajkę, i rozmyślam o spoczynku niezmierzonej

doliny najeżonej domami, których każde okno mówi: „Tutaj pokój jest ninie; tutaj jest szczęście rodzinne!“ -- mogę, gdy wiatr z góry zawieje, myśl zdziwioną kołysać tem odbiciem harmonii piekielnych.

Zmierzch podnieca szaleńców. — Pomnę, miałem dwóch przyjaciół, których zmierzch przyprawiał o chorobę. Jeden zapominał wtedy o wszystkich względach przyjaźni i grzeczności, i znęcał się jak dziki nad pierwszym, kto mu się nawinął. Widziałem, jak rzucił doskonałego kuraka na głowę restauratora, gdyż zdawało mu się, że widzi na nim nie wiem jakie obrażające hieroglify. Wieczór, zwiastun głębokich rozkoszy, jemu psuł najsoczystsze potrawy.

Inny znowu, wielkość nieznana, stawał się w miarę schyłku dnia kwaśniejszy, posępniejszy, kłótlwszy. Poblądliwy i towarzyski jeszcze podczas dnia, był nielitościwy wieczór; ale nietylko innym, lecz także jemu samemu dawała się straszliwie we znaki jego mania wieczorna.

Pierwszy umarł waryatem, niezdolnym rozpoznać własnej żony i dziecka; drugi żywi w sobie niepokój i wieczne niezadowolenie, i choćby został obdarowany wszystkimi zaszczytami, które mogą nadawać republiki i księżęta, to zdaje mi się, że zmrok wzbudził by w nim

jeszcze gorącą żądę odznaczeń wymarzonych. Noc, która w ciemność wtrąciła ich umysł, zapala światło w moim; i chociaż nie jest to rzeczą rzadką, że ta sama przyczyna sprzeczne skutki wywołuje, zawsze mnie to zaciekawia poniekąd i trwoży.

O nocy! o odświeżająca ciemności! ty jesteś dla mnie zwiastunką wewnętrznego święta, tyś jest wybawieniem z trwogi! Wśród samotnych równin, w kamiennych labiryntach stolicy — migotania gwiazd, rozbłyśki latarń: oto sztuczne ognie bogini Wolności!

O zmroku, jakże ty jesteś słodki i luby! Błyski różowe, co się przesuwają jeszcze po horyzoncie jak agonja dnia pod naciskiem zwycięskiej nocy, płomienie kandelabrow, które tworzą ciemno-czerwoną plamę na ostatniej glori zachodu, ciężkie draperye, które zaciąga niewidzialna ręka z głębokości Wschodu, podobne są do zawitych uczuć, które walczą w sercu człowieka z uroczystymi godzinami życia.

Rzec by można: jedna z tych dziwnych sukien baletnic, gdzie przeźroczysta i blada gaza pozwala się domyślać przytłumionych świetności jaskrawej spodniczki, jak przez czarną rzeczywistość przebija się rozkoszna przeszłość; a gwiazdy migocące złotem i srebrem, któ-

remi jest zasiana, przedstawiają te fantastyczne ognie, co świecą jedynie w głębokiej żałobie Nocy.

XXIII.

SAMOTNOŚĆ.

PEWIEN gazeciarz filantropijny mówi mi, że samotność zła jest dla człowieka – i na poparcie swego zdania cytuje, jak wszyscy niewierzący, słowa Ojców kościoła.

Wiem, że Demon nawiedza chętnie miejsca puste, i że Duch morderstwa i lubieżności rozplomienia się przedziwnie w pustkach. Może być zresztą, że samotność zgubna jest tylko dla duszy próżniaczej i zbłąkanej, która ją zaludnia swemi namiętnościami i swemi zmorami.

To pewna, że gaduła, dla którego najwyższą przyjemnością jest kazanie z wysokości ambony lub trybuny, na wyspie Robinsona naraził by się na postradanie zmysłów i szaleństwo. Nie wymagam od mego gazeciarza bohaterskich cnót Kruzoa, ale żądam, by nie potępiał miłośników samotności i tajemnicy.

Wśród naszego skrzeczącego pokolenia są jednostki, które zgodziłyby się z mniejszym wstrętem na najwyższe katusze, gdyby im tylko wolno było z wysokości stosu mieć obfitą mowę bez obawy, że dobosze z Santerre przerwą im zawcześnie.

Nie żałuję ich, gdyż zgaduję, że te ich wy-lania oratorskie sprawiają im podobną rozkosz, jaką inni znajdują w milczeniu i w skupieniu; ale nimi pogardzam.

Chcę przedewszystkiem, aby mój przeklęty gazeciarz pozwolił mi bawić się według mej woli. „Pan nie odczuwa więc — rzekł mi tonem wysoko apostolicznym — nigdy potrzeby podzielenia swoich radości?“ Widzicie mi go, jaki sprytny zazdrośnik! Wie, że pogardzam jego uciechami, więc przychodzi wkręcić się do moich, ohydny natręt!

„To wielkie nieszczęście, nie móżdż być samym!...“ mówi gdzieś La Bruyère, jakoby w chęci zawstydzienia tych wszystkich, co szukają zapomnienia w tłumie, bez wątpienia z obawy przed samym sobą.

„Prawie wszystkie nasze nieszczęścia pochodzą z tego, żeśmy nie umieli pozostać w domu“, mówi znowu inny mędrzec, Pascal zdaje mi się, zwołując tak do izdebki skupienia tych wszyst-

kich szalonych, co szukają szczęścia w ruchu
i w prostytutcy, którą nazwałbym braterską,
mówiąc pięknym językiem mojego wieku.

XXIV.

ZAMIARY.

MÓWIŁ do siebie, przechadzając się samotnie po wielkim parku: „Jakże piękna byłaby ona w sutym i okazałym stroju dworskim, zstępująca w atmosferze pięknego wieczora po marmurowych stopniach pałacu, wobec wielkich trawników i sadzawek! Gdyż ona wygląda zaiste na księżniczkę“.

Przechodząc później uliczką, zatrzymał się przed sklepem z rycinami, i znalazłszy na kartonie sztych przedstawiający krajobraz podzwrotnikowy, powiedział sobie: „Nie! to nie w pałacu chciałbym, aby jej drogie życie do mnie należało. Tam nie byłoby nam swojsko. Zresztą na tych ścianach zasianych złotem, nie byłoby miejsca na zawieszenie jej portretu; w tych poważnych galeryach nie ma kącika na zwierzenia.

Bez wątpienia tylko tu trzeba by nam mieszkać, aby snuć marzenie mego życia“.

I rozpatrując oczyma szczegóły sztychu, ciągnął dalej w myśli: „Nad brzegiem morza ładny domek drewniany, otoczony temi wszystkimi dziwaczniemi i błyszczącemi drzewy, których nazwisk nie pomnę . . . , w powietrzu woń odurzająca, nieokreślona . . . , w domku silny zapach róży i piżma . . . , dalej, poza naszą małą zagrodą wierzchołki masztów, rozchwianych kołysaniem fal . . . , a dookoła nas, poza pokojem oświetlonym różowym blaskiem, przyćmionym storaniami, ustrojonym świeżemi matami i bujnymi kwiatami, z rzadkiemi krzesłami w portugalskiem rokoko z ciężkiego i ciemnego drzewa (gdzie by *ona* spoczywała taka spokojna, w powiewie wachlarzów, pałaca tytoń z lekką domieszką opium!), poza tą kryjówką łopot ptaków pijanych światłem, skrzeczenie małych murzynek . . . , a w nocy wtórujący moim snom żaloszny śpiew drzew muzycznych, melancholijnych sosen! Zaisie, tam są właśnie te dekoracye, których szukałem. Cóż bym ja robił z pałacem“?

A dalej, gdy postępował wielką aleją, spostrzegł czyściutką gospodę, z której okna rozweselonego firankami z pstrego perkalu, wychylały się dwie główki uśmiechnięte. I w tejsze

chwili rzekł sobie: „Myśl moja musi być chyba wielką włóczęgą, że idzie tak daleko szukać tego, co jest tak blisko mnie. Rozkosz i szczęście są w pierwszej napotkanej gospodzie, pierwszej lepszej gospodzie, tak bogatej w rozkosze. Wielki ogień, jaskrawe fajanse, znośna kolacya, cierpkie wino i szerokie łoże z trochę wytartemi, ale świeżemi prześcieradłami; cóż lepszego?”

I wracając sam do domu o godzinie, w której rad Mądrości nie przygłusza już brzęk zewnętrznego życia, powiedział sobie: „Miałem dziś we śnie trzy mieszkania, gdzie znalazłem równą przyjemność. Po cóż zmuszać ciało do zmieniania miejsca, gdy dusza moja tak lekko podróżuje? I na cóż skutecznić zamiary, kiedy zamiar sam w sobie daje dość przyjemności?”

XXV.

PIĘKNA DOROTA.

SŁOŃCE przytłacza miasto prostopadłem i straszniem światłem, piasek oślepia, morze błyszczy się. Świat otrętwiały pochyła się gnuśnie i odbywa drzymkę, co jest rodzajem smacznej śmierci, gdzie śpiący na pół obudzony napawa się rozkoszą własnego unicestwienia.

Jednak Dorota, mocna i dumna jak słońce, posuwa się po pustej ulicy, jedna czuwająca o tej godzinie pod niezmierzonym błękitem i tworząca w świetle rażącą i czarną plamę.

Posuwa się lekko, kołysząc tak smukłym, a w biodrach tak szerokim torsem. Jej jedwabna, obcisła suknia barwy jasno-różowej odbija żywo od cieniów jej płci i uwydatnia dokładnie jej długi stan, wklęsłe plecy i wyniosłe piersi.

Czerwona parasolka, przepuszczając świa-

tło, rzuca na jej ciemną twarz krwistą barwę swych refleksów.

Ciężar olbrzymich, prawie granatowych włosów pociąga w tył jej delikatną główkę i nadaje jej wygląd tryumfalny i leniwy. Ciężkie zausznicie dźwięczą tajemniczo w jej delikatnych uszkach.

Niekiedy wietrzyk od morza unosi kraj jej powiewnej spodnicy i odkrywa lśniąca i wspinała łydkę; a nóżka jej, podobna do nóg bogiń z marmuru, które Europa zamyka w muzeach, odciska wiernie kształt swój w delikatnym piasku. Gdyż Dorota jest tak nadzwyczajnie zalotna, że przyjemność, którą jej podziwy sprawiają, przeważa u niej dumę z wyzwolenia, i chociaż jest wolna, chodzi bez bucików.

Posuwa się tak harmonijnie, szczęśliwa życiem i uśmiechająca się jasnym uśmiechem, jak gdyby zoczyła w dalekiej przestrzeni zwierciadło odbijające jej ruchy i piękność.

O godzinie, kiedy psy nawet skomla z bóleści pod słońcem, które je kąsa, jakaż to ważna przyczyna każe tak iść tak leniwej, pięknej i zimnej jak bronz Dorocie?

Dlaczegoż opuściła swój malutki domek, tak zalotnie urządzone, który kwiaty i maty zamieniają tak małym kosztem w doskonały

buduar, gdzie z taką lubością się czesze, pali, wachluje się lub przegląda w zwierciadle pośród wielkich wachlarzy z pór, podczas gdy morze uderzające o brzegi o sto kroków opodal, wtórzy jej nieokreślonym marzeniom potężnie i monotonnie, a kociołek żelazny, w którym gotuje się potrawka z raków z ryżem i szafranem, posyła jej z głębi podwórza podniecające wonie?

Może ma schadzkę z jakim młodym oficerem, który w dalekich stronach słyszał już od towarzyszy o sławnej Dorocie. Nieochybnie będzie go prosić to głupie stworzenie, by jej opisał bal Opery, i spyta się go, czy można tam iść boso, jak na niedzielne tańce, gdzie stare Kafryjki nawet szaleją i waryują z radości, a potem jeszcze, czy też paryskie piękne panie są wszystkie ładniejsze od niej.

Dorotę podziwiają i wyróżniają wszyscy, i byłaby zupełnie szczęśliwa, gdyby nie była zmuszona składać piastr do piastra na wykupienie małej siostrzyczki, która ma jedenaście lat i jest już dojrzała i taka piękna! Uda się to bez wątpienia dobrej Dorocie: właściciel dziecka jest tak skąpy, zanadto skąpy, by rozumieć inną piękność, oprócz talarów!

XXVI.

OCZY BIEDAKÓW.

A! chcesz wiedzieć, dlaczego ja cię nienawidzę dzisiaj. Będzie to dla ciebie bez wątpienia trudniejsze do zrozumienia, niż dla mnie do wypowiedzenia; gdyż ty jesteś zdaje mi się najpiękniejszym okazem nieprzenikliwości kobiecej, jaki mi się spotkać udało.

Przepędziliśmy razem długi dzień, który mnie się wydał krótkim. Obiecaliśmy sobie uroczyście, że będziemy dzielić wzajemnie wszystkie myśli, i że nasze dwie dusze będą odtąd tworzyły jedną, — marzenie, które nie ma nic oryginalnego, wszelako, choć rojone przez wszystkich ludzi, nie było urzeczywistnione przez nikogo.

Wieczorem, trochę znużona chciałabyś usiąść przed nową kawiarnią, tworzącą róg nowego bulwaru, jeszcze pełną gruzu, a pokazującą już

z chwałą swe niedokończone wspaniałości. Kawiarnia iskrzyła się. Sam gaz gorzał zapaleni, okazywanym zwykle w początkach i oświecał ze wszystkich sił ściany oślepiające białością, obrusy lśniące jak zwierciadła, złoto listw i gzem-sów, paziów o tłustych twarzach, ciągnionych przez psy na smyczy, damy śmiejące się do sokoła, uczeptionego na ich pięści, nimfy i boginie, niosące owoce, pasztety i zwierzynę na głowach, Heby i Ganimedów, podających w wyciągniętej ręce małą amforę bawarki, lub kolorowy obelisk z pstrych szkieleł: cała historia i cała mitologia oddana na usługę obżarstwu.

Wprost przed nami, na drodze, stał jakiś poczciwy czterdziestoletni człowiek, o twarzy zmęczonej i siwiejącej brodzie, który trzymał za rękę małego chłopca, a na drugim ramieniu dźwigał małą istotkę za słabą do chodzenia. Spełniał funkcyę bony i wyprowadzał dzieci wieczorem na powietrze. Wszyscy w łachmanach. Te trzy twarze miały wygląd nadzwyczajnie poważny, a te sześcioro ócz wpatrywało się niewzruszenie w nową kawiarnię z równym zachwytem, cieniowanym jednakże przez wiek rozmaicie.

Oczy ojca mówiły: „Jakież to piękne! jakież to piękne! rzec by można, że wszystko złoto

biednego świata przeniosło się na te mury". — Oczy małego chłopca: „Jakież to piękne! jakież to piękne! ale to dom, do którego nie wolno wchodzić takim ludziom, jak my". — Zaś co do oczu najmniejszego, to były zanadto oczarowane, by mogły wyrażać co innego prócz głębokiej i osłupiałej radości.

Pieśniarze mówią, że radość czyni duszę dobrą i zmiękcza serce. Względem mnie piosnka miała rację tego wieczoru. Nietylko byłem rozczulony tą rodziną ócz, ale czułem się trochę zawstydzony naszymi kieliszkami i karafkami większymi od naszego pragnienia. Skierowałem spojrzenie ku tobie, drogie kochanie, aby wyczytać tam *moją* myśl; zanurzałem się w twoich tak pięknych i tak dziwnie słodkich oczach, w twoich oczach zielonych, zamieszkanym przez Kaprys i natchnionych przez Księżyc, gdyś ty mi rzekła: „Jacyż ci ludzie tam są nieznośni, z temi otwartymi oczyma jak bramy wjazdowe! Czy nie mógłbyś poprosić właściciela kawiarni, by ich stąd odpędził?“

Tak to jest trudno zrozumieć się, mój drogi aniołku, i tak nieudzielająca się jest myśl nawet między ludźmi, co się kochają!

XXVII.

BOHATERSKA ŚMIERĆ.

FANCIOULLE był wybornym komedyantem i należał niemal do przyjaciół Księcia. Ale dla ludzi, poświęcających się z zawodu komice, rzeczy poważne mają fatalny urok i chociaż może się to zdawać dziwaczne, że myśli o ojczyźnie i wolności owładają despotycznie mózgiem histryona, pewnego dnia Fanciouille przyłączył się do spisku utworzonego przez kilku niezadowolonych z pomiędzy szlachty.

Wszędzie są dobrzy ludzie, którzy donoszą władzy o indywiduach usposobienia hipochondrycznego, co chcą zrzucić księżęta, i sprowadzać, nie radząc się ich, przewrót społeczeństwa. Panowie, o których mowa, zostali uwięzieni, tak jak i Fanciouille, i skazani na śmierć niechybną.

Przypuszczam, że Księżciu było nawet przykro znaleźć swego ulubionego komedyanta między buntownikami. Książę nie był ani lepszy, ani gorszy niż inni, ale nadmierna drażliwość czyniła go w wielu wypadkach okrutniejszym i despotyczniejszym od jemu podobnych. Zapalony zwolennik sztuk pięknych, a przytem znakomity znawca, był prawdziwie nienasycony w rozkoszy. Dostyc obojętny względem ludzi i moralności, sam prawdziwy artysta, nie znał niebezpieczniejszego nieprzyjaciela nad Nudę, a dziwaczne wysiłki, które czynił, by uniknąć lub zwyciężyć tego tyrana świata, ściągnęłyby na niego zapewne ze strony surowego historyka epitet „potwora“, gdyby w jego posiadłościach dozwolone było opisywanie czegoś, co by nie miało na celu jedynie przyjemności albo zdziwienia, które jest jedną z najsubtelniejszych form przyjemności. Wielkiem nieszczęściem dla tego Księcia było, że nie miał teatru dość szerokiego dla swego geniuszu. Bywają młode Nerony, co duszą się w granicach zbyt ciasnych, i których imienia i dobrej woli przyszłe wieki nigdy nie poznają. Nieopatrzna Opatrzność dała mu zdolności większe niż jego Państwo.

Nagle rozeszła się pogłoska, że Władca chce ułaskawić wszystkich skazanych; początek

tej pogłosce dała zapowiedź wielkiego widowiska, gdzie Fanciouille miał odegrać jedną ze swych popisowych i najlepszych ról, a na którym mają być obecni, mówiono, skazani panowie nawet; znak niewątpliwy, dodawały umysły powierzchowne, wspaniałomyślnych zamiarów obrażonego Księcia.

U człowieka tak z natury i woli ekscentrycznego wszystko było możliwe, nawet cnota, nawet łagodność, zwłaszcza, jeśli mógł się spodziewać, że znajdzie w tem niespodziewaną przyjemność. Ale dla tych wszakże, którzy mogli wnikać, tak jak ja, w głębiny tej ciekawej i chorej duszy, było rzeczą niesłychanie więcej prawdopodobną, że Książę chciał osądzić wartość talentów scenicznych człowieka na śmierć skazanego. Chciał skorzystać ze sposobności, aby zrobić doświadczenie fizyologiczne wysokiej doniosłości i sprawdzić, do jakiego stopnia wrodzone zdolności artysty zmiesza lub zmieni wyjątkowe położenie, a po zatem, może jednak istniała w jego duszy mniej lub więcej powściągnięta chęć łaskawości? Jest to rzecz, którą trudno kiedykolwiek wyjaśnić.

Nareszcie, gdy nadszedł wielki dzień, ten mały Dwór rozwinął wszystkie wspaniałości, i zaiste trudno byłoby uwierzyć, przynaj-

mniej gdyby się nie widziało, na jakie splendory uprzywilejowana klasa małego Państwa o ograniczonych środkach może się zdobyć w dzień prawdziwie uroczysty. Uroczystość to bowiem była podwójnie istotna, naprzód przez czar rozwiniętego zbytku, następnie przez zainteresowanie moralne i tajemnicze, które wywołała.

Fanciouille celował przedewszystkiem w rolach niemych lub nieprzeciążonych słowami, co są często głównymi w tych czarodziejskich dramatach, których przedmiotem jest przedstawienie symbolicznie tajemnicy życia. Wszedł lekko i z zupełną swobodą na scenę, co przyczyniło się do podtrzymania w szlachetnej publice myśli o łasce i przebaczeniu.

Gdy się mówi o aktorze: „To mi jest dobry aktor“, używa się formuły, która znaczy, że pod osobistością daje się jeszcze odczuwać aktor, to jest sztuka, wysiłek, wola. Otóż, jeżeli kiedy aktor doprowadził do tego, że stał się, w stosunku do osobistości, którą obowiązany był przedstawić, tem, czem były najlepsze posągi starożytności, cudownie duchem natchnione, żywe, chodzące, widzące, w stosunku do ogólnego i mętnego pojęcia piękna: to stało się to tutaj, — wypadek bez wątpienia szczególny i całkiem nieoczekiwany. Fanciouille był tego

wieczoru doskonałym ideałem, o którym nie można było powątpiewać, że jest żywy, możliwy, rzeczywisty. Ten błazen wychodził, wchodził, śmiał się, płakał, wił się w konwulsjach z niezniszczalną aureolą naokoło głowy, aureolą niewidzialną dla wszystkich, ale widzialną dla mnie, a na którą składały się w dziwnym amalgamie promienie Sztuki i chwała Cierpienia. Fancioulle dzięki jakiejś szczególniejszej łasce, wprowadzał pierwiastek boski i nadprzyrodzony nawet do najszaleńszych blazeństw. Pióro mi drży, a lzy ciągłego wzruszenia napływają mi do ocz, gdy próbuję wam opisać ten niezapomniany wieczór. Fancioulle dowiódł w sposób stanowczy i niezbity, iż upojenie Sztuką snadniej jest zdolne niż każde inne zasłonić grozę otchłani; że geniusz może grać komedię na brzegu grobu z rozkoszą, która mu nie pozwala widzieć grobu, a zgubiony jak on, może się jeszcze zatapiać w raju wykluczającym wszelką myśl grobu i zniszczenia.

Cała publiczność, jakkolwiek tak tępa i płocha jak tylko być może, odczuła niebawem całą potężną władzę artysty. Nikt nie myślał już o śmierci, o żałobie, ani o pokucie. Każdy oddawał się bez niepokoju mnogim rozkoszom, które dają widok arcydzieła sztuki żywej. Wy-

buchy radości i podziwu wstrząsały po kilka razy sklepieniami gmachu z energią nieprzerwanego grzmotu. Sami Książę nawet upojony dołączył swe oklaski do oklasków Dworu.

Jednak, dla jasnowidzącego oka, jego upojenie nie było zupełnie bez cienia. Czyż by się czuł zwyciężonym w swej władzy despoty? poniżonym w sztuce przestraszania serc i odrętwiania umysłów? zawiedzionym w nadziejach i oszukany w przewidywaniach? Takie przypuszczenia niezupełnie uzasadnione, ani też całkiem nieuzasadnione przychodziły mi na myśl, gdy się wpatrywałem w twarz Księcia, na którą, zwyczajnie już bladej, padała ciągle coraz nowa bladeść, tak jak śnieg pada na śnieg. Wargi zaciskały mu się coraz bardziej, a oczy świeciły wewnętrznym ogniem, podobnym do płomienia zazdrości lub urazy, nawet wtedy, kiedy oklaskiwał ostentacyjnie zdolności swego starego przyjaciela, szczególnego błazna, który tak dobrze śmierć błaznował. W tem naraz zoczyłem, że Jego Wysokość schyliwszy się do małego paza, stojącego tuż za nim, mówił mu coś do ucha. Przebiegła fizyognomia pięknego dzieciaka rozjaśniła się uśmiechem; następnie opuścił żywo lożę książęcą, jakby w celu wypełnienia pilnego rozkazu.

W parę minut później ostry, przeciągły głos świstawki przerwał Fancioullowi w jednej z najlepszych jego chwil i rozdarł zarazem uszy i serca. A z miejsca sali, skąd trysnęła ta nieoczekiwana przygana, wyleciało na korytarz dziecko, dusząc się od śmiechu.

Fanciouille wstrząśnięty, obudzony ze swego snu, zamknął najpierw oczy, potem otworzył je prawie zaraz niezmiernie powiększone, rozwarł następnie usta, jak gdyby chcąc odetchnąć kurczowo, zachwiał się trochę naprzód, trochę w tył, a nareszcie upadł sztywny, nieżywy na deski.

Czy ten świst szybki jak miecz istotnie pozbawił kata ofiary? Czy Księżę sam przeczuł całą morderczą skuteczność swego wybiegu? Wolno nam o tem wątpić. Czy żałował swego drogiego i niepowetowanego Fancioulla? Słodko i godziwie jest wierzyć temu.

Występni panowie cieszyli się raz ostatni widowiskiem komedyi. Tejże nocy zostali wykreśleni z księgi żywota.

Od tego czasu wielu aktorów sprawiedliwie ocenianych w różnych krajach, przychodziło grać na Dworze ***, ale żaden z nich nie potrafił przypomnieć cudownych zdolności Fancioulla, ani też dostąpić do takiej *laski*.

XXVIII.

FAŁSZYWY PIENIĄDZ.

GDYŚMY tylko wyszli ze sklepu z tytoniem, mój przyjaciel zrobił bardzo staranny podział swych pieniędzy: w lewą kieszeń od kamizelki wsunął drobne sztuki złote, w prawą srebrne, do lewej kieszeni spodni wsypał mnóstwo grubszej zdawkowej monety, a na koniec do prawej schował srebrną dwufrankówkę, którą przedtem bacznie obejrzał.

„Szczególny i drobiazgowy podział!“ rzekłem do siebie.

Spotkaliśmy biedaka, który drząc nadstawił nam czapkę. — Nie znam nic więcej niepokojącego nad niemą wymowę tych błagalnych ocz, które dla wrażliwego człowieka, co umie w nich czytać, zawierają w sobie tyle upokorzenia i wyrzutu zarazem. Jest w nich coś pokrewnego owej głębi skomplikowanych uczuć w zapłakanych oczach osmaganego psa.

Widząc, że datek mojego przyjaciela był znacznie okazańszy od mojego, powiedziałem mu: „Masz słuszność; pominąwszy przyjemność doznania zdziwienia, niema większej nad sprawienie komuś niespodzianki“. — To był fałszywy pieniądz“, odrzekł mi spokojnie jakby usprawiedliwiając się ze swojej szcudroblivości.

Ale w mym biednym mózgu, zajęтым zawsze „wyszukiwaniem południa o czternastej godzinie“ (jakżeż nużąca zdolnością obdarzyła mnie przyroda!), powstała nagle myśl, że podobne postępowanie ze strony mojego przyjaciela dałoby się tylko wytłomaczyć chęcią spowodowania jakiegoś wypadku w życiu tego nieboraka, a może nawet poznania różnych skutków zgubnych, lub też innych, które może sprowadzić fałszywy pieniądz w rękę żebraka. Nie mógł — że się rozmnożyć w prawdziwe pieniądze? nie mógł — że go również zaprowadzić do więzienia? Karczmarz, piekarz naprzykład kazał by go pewnie zaaresztować jako fałszerza, lub rozsiewacza fałszywych pieniędzy. Tak samo dobrze mógł by być może ten fałszywy pieniądz zarodkiem kilkudniowego majątku dla biednego spekulanta. I tak to bujała moja fantazyja, użyczając skrzydeł duchowi mego przyjaciela i wyciągając wszystkie możliwe wnioski ze wszystkich możliwych hipotez.

Gdy w tem tenże przerwał mi gwałtownie moje marzenia, podnosząc me własne słowa: „Tak, masz słuszność: nie ma większej przyjemności nad zadziwienie człowieka, dając mu więcej, niż się spodziewał”.

Patrzyłem mu w same białka i byłem przełknięty, widząc, jak jego oczy błyszczały niezaprzeczalną prostodusznością. Widziałem wtedy jasno, że chciał za jednym razem zrobić dobry uczynek i dobry interes: zyskać czterdzieści soldów i łaskę Bożą, zdobyć raj oszczędnie, w końcu dostać darmo dyplom człowieka miłosiernego. Byłbym mu raczej przebaczył chęć występnej zabawki, do której zdolnym osądziłem go przed chwilą, uważałbym za rzecz zastanawiającą i szczególną, że bawił się narażając biedaka, ale nie przebaczę mu nigdy bezmyślnej głupoty jego rachunku. Nigdy tego usprawiedliwić nie można, że się jest przewrotnym, ale jest to już pewną zasługą wiedzieć, że się nim jest; występkiem najmniej zasługującym na przebaczenie jest zrobić źle przez głupotę.

XXIX.

WSPANIAŁOMYŚLNY GRACZ.

WCZORAJ, przeciskając się w tłumie bulwaru, uczulem na sobie lekkie dotknięcie ducha tajemniczego, którego życzyłem sobie już dawno poznać, a odgadłem natychmiast, chociaż go nigdy nie widziałem. Bez wątpienia żywił też i on tę samą chęć względem mnie, gdyż przechodząc mrugnął na mnie znacząco okiem, czemu ja nie omieszkałem być posłusznym. Poszedłem za nim z szacunkiem i wnet zstąpiłem z nim do mieszkania podziemnego, olśniewającego, gdzie jaśniał przepych, o którym przybliżonego nawet pojęcia żadna ze wspaniałych siedzib Paryża dać by nie mogła. Wydawało mi się to dziwnem, jak mogłem przechodzić tak często koło tego czarodziejskiego schronienia, nie domyślając się nawet wejścia. Panowała tutaj wytworna choć jędrna atmosfera, która

sprawiła, że zapominało się niemal natychmiast o wszystkich nudnych okropnościach życia; wdechało się tutaj błogość jakąś ponurą, jakiej doznawać musieli zjadacze lotosu, gdy wylądowawszy na zaczarowanej wyspie, oświeconej blaskami wieczystego popołudnia, uczuli rodzącą się w nich przy rozmarzających pluskach melodyjnych kaskad chęć nieoglądania nigdy swych progów, swych żon, swych dzieci i niepowracania nigdy na wielkie fale morza.

Były tam dziwne twarze mężczyzn i kobiet, napiętnowane fatalną pięknnością, znane mi zda się z epoki krajów, których sobie dokładnie przypomnieć nie mogę, i napełniające mnie raczej sympatją braterską, niż ową trwogą, co się rodzi zazwyczaj na widok nieznanego. Jeśli-bym chciał jakimkolwiek sposobem określić szczególny wyraz ich spojrzeń, rzekłbym, że nigdy nie widziałem ócz silniej błyszczących okropnością nudy i nieśmiertelnem pragnieniem świadomości życia.

Siadając, byliśmy już z moim gospodarzem starymi i dobrymi przyjaciółmi. Jedliśmy, pili nad miarę rozmaite gatunki niezwykłych win, i co niemniej niezwykłe, że zdawało mi się po kilku godzinach, iż nie byłem więcej od niego pijany. Tymczasem gra, ta boska rozrywka prze-

rywała w różnych odstępach nasze częste libacje, a przyznać się muszę, że z lekkomyślnością i niedbałością bohatera postawiłem na kartę mą duszę i przegrałem ją w dalszym ciągu gry. Dusza jest rzeczą tak nieuchwytną, tak często niepotrzebną, a czasem znowu tak kłopotliwą, że strata ta nie wzruszyła mnie nawet tyle, co zgubienie karty wizytowej na przechadzce.

Wypaliliśmy sobie zwolna kilka cygar, których moc i nieporównana wonność budziły w duszy tęsknotę za jakimś krajem i szczęściem nieznanem - i odurzony wszystkimi temi delicyjami, ośmieliłem się, i w przystępie poufałości, której nie zdawał się brać mi za złe, wykrzyknąłem, chwytając kubek pełny po same brzegi: „Na twoje nieśmiertelne zdrowie, stary Capie!”

Rozmawialiśmy także o wszechświecie, o jego stworzeniu i o jego przyszltem zniszczeniu; o wielkiej myśli wieków, to znaczy, o postępie i stopniowem doskonaleniu się i wogóle o wszystkich rodzajach głupiej zarozumiałości ludzkiej. Jego Książęca Mość była niewyczerpana w lekkich i wykwinlnych żartach o tym przedmiocie, a wyrażała się ze słodyczą wymowy i ze spokojnym dowcipem, czego nie zdarzyło mi się spotkać u żadnego ze sławniejszych mowców ludzkości. Tłumaczyła mi niedorzeczność różnych

filozofii, które o władnęły były do tego czasu umysłem ludzkim i raczyła nawet zaszczyć mnie powierzeniem kilku głównych zasad, których korzyściami i własnością z nikim dzielić mi się nie wolno. Bynajmniej nie uskarżała się zupełnie na złą sławę, którą się cieszy we wszystkich częściach świata, i zapewniała mnie, że ona, ona sama, jest osobą najwięcej interesowaną w niszczeniu *zabobonu*, i przyznała się, że o swą władzę raz tylko się obawiała, mianowicie w dniu, kiedy słyszała kaznodzieję, bystrzejszego od swych współbraci, wołającego z kazalnicy: „Moi bracia drodzy, nie zapominajcie nigdy, gdy usłyszycie wychwalanie postępu oświaty, że najpiękniejszym podstępem Djabła jest, wmówić w was, że wcale nie istnieje!”

Wzmianka o tym sławnym mówcy, zwróciła naszą rozmowę do spraw akademickich i mój dziwny współbiesiadnik utrzymywał, że w wielu wypadkach nie wzdraga się natchnąć pióro, słowo i umysł pedagogów, i że był obecny osobiście prawie zawsze, chociaż niewidzialny, na wszystkich posiedzeniach akademickich.

Ośmielony taką dobrocią, spytałem go się o nowiny o Bogu, i czy Go dawno widział. Odpowiedział mi niedbale, z lekkim odcieniem smutku: „Pozdrawiamy się, gdy się spotkamy,

ale jak dwaj dżentelmeni, u których wrodzona grzeczność nie potrafiła przytłumić całkiem wspomnienia dawnych uraz“.

Wątpliwem jest, czy Jego Książęca Mość dała kiedykolwiek tak długie posłuchanie zwykłemu śmiertelnikowi, to też obawiałem się go nadużyć. W końcu, jak tylko lekki świt zaczął bielić szyby, ta znakomita osobistość, opiewana przez tylu poetów i obsługiwana przez tylu filozofów, którzy pracują nieświadomie dla jej chwały, rzekła do mnie: „Chcę, żebyś zachował o mnie dobrą pamięć i okażę ci, że Ja, o którym mówią tyle złego, jestem czasem *poczciwą bestyą*, używając jednego z waszych gminnych wyrażeń. W końcu, aby wynagrodzić stratę bezpowrotną, jaką poniosłeś tracąc duszę, daruję ci stawkę, którą byłbyś wygrał, gdyby los tobie był sprzyjał, to znaczy, zdolność ulżenia i zwyciężenia w całym swym życiu tego dziwaczного uczucia Nudy, które jest źródłem wszystkich twych chorób i wszystkich twych nędznych postępów. Ja ci dopomogę urzeczywistnić każde życzenie, które poweźmiesz; będziesz panował nad tobie podobnymi prostaczkami; będziesz opływał w pochlebstwa, a nawet uwielbienia; srebro, złoto, dyamenty, czarodziejskie pałace przyjdą cię szukać i będą cię prosić, byś je

przyjął, bez starań z twej strony, by je pozyskać; będziesz zmieniał ojczyznę i okolicę tak często, jak się to tylko twej fantazyi spodoba; będziesz się pławił w rozkoszy, bez wyczerpania, w kra-
jach uroczych, gdzie jest zawsze ciepło i gdzie
kobiety są tak woniejące, jak kwiaty, — i t. d.,
i t. d...“ , dodał, żegnając się ze mną z miłym
uśmiechem.

Gdyby nie obawa upokorzenia się przed
tak licznem zebraniem, chętnie byłbym upadł
do nóg temu wspaniałomyślnemu graczowi, aby
mu podziękować za jego niesłychaną hojność.
Ale powoli, skoro go opuściłem, nieuleczalna
nieufność wkradła się do mego łona; nie śmia-
łem już wierzyć w tak nadzwyczajne szczęście,
i gdy, kładąc się spać, odmawiałem modlitwę
przez resztę dawnego, głupiego przyzwyczajenia,
powtarzałem wespół: „Mój Boże! Panie mój,
Boże! daj, aby Djabeł dotrzymał mi słowa!“

XXX.

SZNUREK.

Edwardowi Manet.

ZŁUDZENIA, mówił mój przyjaciel, są być może również niezliczone, jak stosunki ludzi do innych ludzi i rzeczy. Skoro złudzenie pierzcha, to znaczy, gdy spostrzegamy istotę lub fakt tak, jak istnieje niezależnie od nas, doznajemy dziwnego uczucia, złożonego w części z żalu za znikniętym cieniem, w części z przyjemnego zadziwienia nowością, faktem rzeczywistym. Jeśli istnieje zjawisko widoczne, pospolite, zawsze jednakowe i takie, że się co do jego natury mylić nie można, to jest niem chyba miłość macierzyńska. Wyobrazić sobie matkę bez miłości macierzyńskiej, jest równie trudno, jak wyobrazić sobie światło bez ciepła; nie jest — że tedy najzupętniej słusznem, składać na karb miłości macierzyńskiej wszystkie czyny i słowa matki, tyczące

się jej dziecka? A jednak — posłuchaj tej historyi, gdzie zostałem dziwnie oszukany najnaturalniejszym złudzeniem.

„Zawód malarza zmusza mnie do uważnego przypatrywania się twarzom i fizioogniom, z którymi się spotykam, a wiadomo ci, jakie zadowolenie daje nam owa zdolność, która sprawia, że dla oczu naszych życie jest żywsze i pełniejsze znaczenia, niż dla innych ludzi. W odosobnionej dzielnicy, w której mieszkam, gdzie szerokie przestrzenie trawnika przedzielają jeszcze budynki, widywałem często dzieciaka, którego gorąca i chytrzejsza niż wszystkich innych fiziognomia zajęła mnie od pierwszego wejrzenia. Pozował on mi nieraz i przemieniałem go nieraz to w cyganiątko, to w anioła, to w mitologicznego Amora. Dawałem mu do ręki skrzypce włóczęgi, Wieniec cierniowy i Gwoździe Męki i Pochodnię Erosa. Nabrałem w końcu takiej żywej sympatii dla figłów tego wisusa, że poprosiłem pewnego dnia jego rodziców, biednych ludzi, aby mi go odstąpili, obiecując w zamian ubierać go dobrze, dawać mu nieco pieniędzy, nie nakładając nań innych obowiązków, prócz czyszczenia pendzli i załatwiania sprawunków. Dzieciak ten obmyty, zrobił się ładniutki, a ży-

cie, jakie prowadził u mnie, w porównaniu z tem, które znosił był w lichem mieszkaniu rodziców, wydało mu się rajem. Tylko dodać muszę, iż chłopczyk ten zadziwił mnie parę razy szczególnymi napadami przedwczesnego smutku i że zaczął okazywać wnet niezwykle pociąg do cukru i likierów, tak dalece, że pewnego dnia, skoro zauważyłem, iż pomimo licznych napomnień, jeszcze popełnił nową kradzież tego rodzaju, zagroziłem mu, że go odeślę do rodziców. Poczem wyszedłem, a interesa zatrzymały mnie dość długo poza domem.

„Jakież było moje przerażenie i zdziwienie, gdy, po powrocie do domu, pierwszym przedmiotem, który uderzył mój wzrok, był mój mały chłopczyka, filuterny towarzysz mego życia, powieszony na krawędzi tej szafy! Nóżki jego dotykały prawie podłogi, krzesło bezwątpienia odtrącone nogą, leżało przewrócone obok niego, głowa konwulsyjnie przekrzywiona na ramię, nabrzmiała twarz i oczy całkowicie otwarte z przerażającą uporczywością, sprawiły mi z początku złudzenie życia. Zdjąć go nie było rzeczą tak łatwą, jakby sobie to można wyobrazić. Był już bardzo sztywny, a w niewytłumaczony sposób wzdragalem się dać mu

gwałtownie upaść na ziemię. Trzeba go było podtrzymywać całego jednym ramieniem, a ręką drugą uciąć sznurek. Ale nie na tem koniec, ten mały potworek użył sznurka bardzo cienkiego, który mu wcisnął się głęboko w ciało, i musiało się teraz małutkimi nożyczkami szukać sznurka między dwoma pierścieniami nabrzmiałymi, aby mu wyswobodzić szyję.

„Zapomniałem dodać, że wolałem głośno o pomoc, ale wszyscy sąsiedzi odmówili mi jej, wierni zwyczajom człowieka cywilizowanego, co nie chce nigdy „nie wiedzieć dla czego“ mieszać się do spraw wisielca. Wreszcie nadszedł lekarz, który oświadczył, że dziecko to umarło już przed paru godzinami. Gdy później rozbieraliśmy go do pochowania, trup był już tak zdrętwiały, że straciwszy nadzieję zgięcia członków, musieliśmy targać i ciąć suknie, by mu je zdjąć.

„Komisarz, któremu naturalnie musiałem donieść o wypadku, przypatrzył mi się krzywo i rzekł: „To mi jest coś podejrzane!“ widziany bezwątpienia przyzwyczajeniem swego urzędu i niewygasającą chęcią zastraszenia na wszelki wypadek tak niewinnych, jak i winnych.

„Pozostało ostatnie zadanie do spełnienia, o którym sama myśl sprawiała mi straszną trwogę: trzeba było uwiadomić rodziców. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. W końcu nabrałem odwagi. Ale ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, matka była obojętna, ani jedna łza nie spadła z kąta jej ocz. Przypisywałem tę niezwykłą rzecz przerażeniu, jakiego musiała doznać i przypomniałem sobie znaną sentencję: „Najstraszniejsze z boleści, są boleści nieme“. Ojciec zaś poprzestał na powiedzeniu z miną na pół głupkowatą, na pół zadumaną: „Zresztą, może to i lepiej, że się tak stało; on byłby bez tego źle skończył!“

Tymczasem ciało leżało rozciągnięte na mojej sofie, a ja z pomocą służącej zajmowałem się ostatnimi przygotowaniem, gdy wtem weszła matka do mojej pracowni. Chciała ona, jak mówiła, zobaczyć trupa swego syna. Nie mogłem jej zaiste przeszkodzić napawać się swem nieszczęściem i zabronić jej tej ostatniej i smutnej pociechy. Następnie prosiła mnie, bym jej wskazał miejsce, gdzie jej malec się powiesił. „O nie, pani, odpowiedziałem jej, to by panią zbyt dotknęło“. A gdy oczy moje mimowolnie zwróciły się w stronę tej grobowej szafy, spostrzegłem z niesmakiem

zmieszanym ze wstrętem i gniewem, że gwóźdź tkwił jeszcze w ścianie z długim, ciągnącym się kawałkiem sznurka. Skoczyłem żywo, aby wyrwać te ostatnie ślady nieszczęścia, ale skoro zamierzyłem się, aby je wyrzucić przez otwarte okno, ta biedna kobieta chwyciła mnie za rękę i rzekła do mnie głosem, któremu się oprzeć nie było można: „O! panie! zostawcie mi to! proszę was o to! błagam was o to!” Rozpacz doprowadziła ją bezwątpienia do tego obłędu, myślałem, że rozkochała się tak teraz w tem, co służyło za narzędzie śmierci jej syna, i chciała je zachować jako straszną i drogą relikwię. — I pochwyciła gwóźdź wraz ze sznurkiem.

„Nareszcie! nareszcie! wszystko skończone. Nie pozostało mi nic, jak wziąć się do pracy żywiej jeszcze, niż zazwyczaj, aby odpędzić od siebie tego małego trupka, co nawiedzał jeszcze kryjówki mego mózgu, a którego duch mężczył mnie swemi wielkimi, nieruchomemi oczyma. Ale nazajutrz otrzymałem paczkę listów: jedne od mieszkańców mego domu, kilka innych z domów sąsiednich, jeden z pierwszego piętra, inny z drugiego, inny z trzeciego i t. d.; jedne w stylu na pół żartobliwym, chcące niejako ukryć pod pozorem

figla szczeróść prośby, inne wprost bezczelne, nieortograficzne; ale wszystkie prowadzące do jednego celu, to znaczy, by otrzymać odemnie kawałek tego nieszczęsnego i uszczęśliwiającego sznurka. Między podpisanymi, winienem rzec, było więcej kobiet, niż mężczyzn, ale nie wszyscy, wierzcie mi, należeli do najniższej i pospolitej klasy. Schowałem te listy.

„Wówczas nagle rozjaśniło mi się w mózgu i zrozumiałem, dlaczego tak zależało na tem matce, aby mi wyrwać sznurek, i jakim handlem chciała się pocieszać“.

XXXI.

POWOŁANIA.

W PIĘKNYM ogrodzie, gdzie promienie jesien-
nego słońca zdawały się przeciągać z lu-
bością pod zielonawem już niebem, gdzie
obłoki ze złota płynęły jakby podróżujące lądy,
czworo ładnych dzieci, czterech chłopców, znu-
żonych zapewne zabawą, rozmawiało ze sobą.

Jeden mówił: „Wczoraj zaprowadzono mnie
do teatru. W wielkich i smutnych pałacach,
w których głębi widać niebo i morze, rozma-
wiają śpiewnym głosem mężczyźni i kobiety,
poważni i smutni zarazem, ale o wiele pię-
kniejsi i o wiele ładniej ubrani, niż ci, których
się wszędzie widzi. Grożą, błagają, rozpaczają
i opierają często rękę na sztylcie tkwiącym za
pasem. Ach! to bardzo ładne! Kobiety są zna-
cznie piękniejsze i znacznie wyższe od tych,
które przychodzą do nas z wizytą, i chociaż

wyglądają strasznie ze swemi dużemi i wklęsłemi oczyma i rozognionymi policzkami, nie podobna ich nie kochać. Doznaje się przestachu, ma się ochotę płakać, a jednak jest się zadowolonym... A potem, co dziwniejsza, nabiera się chęci ubierania się taksamo, mówienia i robienia tych samych rzeczy i rozmawiania tym samym głosem.

Jedno z czworga dzieci, które od kilku minut nie słuchało już opowiadania swego towarzysza i wpatrywało się z dziwną uporczywością w jakiś nieokreślony punkt nieba, odezwowało się naraz: „Patrzcie, patrzcie tam!... Widzicie *Go*? Siedzi na tym małym oderwanym obłoku, na tym małym, ognistym obłoku, co mknie tak łagodnie. *On* także, naprawdę! *On* patrzy na nas“.

— Ależ kto taki? — zapytali inni.

— Bóg! — odpowiedział tonem pełnym przekonania. — O! już jest bardzo daleko; w tej chwili już *Go* nie zdołacie zobaczyć. Podróżuje bezwątpienia, aby zwiedzić wszystkie kraje. Patrzajcie, oto będzie przechodził po za tym rzędem drzew, już prawie na widnokręgu..., a teraz zachodzi po za dzwonicę... A! już *Go* nie widać! — I dziecko stało jeszcze długo zwrócone w tę stronę, utkwivszy w linię, co

oddziela ziemię od nieba, oczy, w których jaśniał jakiś niewypowiedziany wyraz zachwytu i żalu.

— A to głupek, ten tam ze swoim Panem Bogiem, którego on sam tylko może zobaczyć! — powiedział wtedy trzeci, którego cała mała osóbką odznaczała się szczególną żywością i żywotnością. — Ja zaś opowiem wam, jak to przytrafiło mi się coś, co wam się pewnie nigdy nie przytrafiło, a co jest trochę więcej zajmujące niż wasz teatr i wasze chmury... Parę dni temu zabrali mnie rodzice ze sobą w podróż, a ponieważ w gospodzie, gdzie się zatrzymaliśmy, nie było dość łóżek dla nas wszystkich, postanowiono, że ja będę spał w jednym łóżku z moją boną. — Przyciągnął swych towarzyszy bliżej siebie i mówił głosem cichszym: — Wiecie! to sprawia dziwne wrażenie, nie spać samemu i być w jednym łóżku ze swoją boną w ciemnościach. Ponieważ nie spałem, bawiłem się tedy, podczas gdy ona spała, przesuwając dłoń po jej ręce, po szyi i ramionach. Ma ramię i szyję znacznie grubsze, niż wszystkie inne kobiety, a skóra na nich jest taka miła, taka miła, zdawałoby się, że to papier listowy albo bibułka. I tak mi było przyjemnie, że byłbym to jeszcze dłużej robił, gdy-

bym się nie był bał przede wszystkim, żeby jej nie obudzić, a następnie sam nie wiem czego. Potem schowałem głowę w jej włosy, które się jej zsuwały po plecach, gęste jak grzywa, a tak pachniały, wierzcie mi, jak kwiatki ogrodowe w tej chwili! Spróbujcie, jak będziecie mogli zrobić tak jak ja, a zobaczycie!

Młody autor tego cudownego odkrycia, opowiadając wytrzeszczył oczy, jakby pod wpływem oszołomienia tem, czego jeszcze wciąż doznawał, a promienie zachodzącego słońca ześlizgując się po rudych puklach jego rozwichrzonych włosów, zapalały nad niemi, jakby siarczystą aureolę namiętności. Łatwo więc zgadnąć, że ten nie strawi życia na szukaniu Bóstwa w obłokach, bo go będzie często znajdował gdzieindziej.

Wreszcie czwarty rzekł: „Wiecie dobrze, że mnie nie jest wcale zabawnie w domu; nie biorą mnie nigdy do teatru; opiekun mój jest zanadto skąpy, Pan Bóg nie troszczy się o mnie i moje nudy, i nie mam ładnej bony, aby się z nią pieścić. Zdawało mi się nieraz, że moją przyjemnością byłoby, iść zawsze prosto przed siebie, nie wiedząc dokąd, tak, aby się nikt o to nie troszczył, i widzieć coraz to nowe kraje. Nigdzie i nigdy nie jest mi dobrze i zdaje

mi się zawsze, że tam byłoby mi lepiej, gdzie mnie nie ma. Otóż, na ostatnim jarmarku w sąsiedniej wiosce, widziałem ludzi, co żyją tak, jakbym ja pragnął żyć. Wy, wy nie zwróciliście na to uwagi. Byli oni wielcy, prawie czarni i bardzo dumni, chociaż w łachmanach, z miną świadczącą, że nie potrzebują nikogo. Ich wielkie, ponure oczy rozblyskiwały całe, gdy grali; grali tak dziwnie, że chciało się raz tańczyć, raz znów płakać, lub też oboje naraz, i że można by oszaleć, gdyby się ich słuchało dłużej. Jeden ciągnąc smyczkiem po skrzypcach, zdawał się opowiadać o jakiejś zgryzocie, a drugi podrzucając małym młoteczką po strunach małego klawikordu, zawieszzonego na rzemyku u szyi, miał minę szydzącą ze skargi sąsiada, podczas gdy trzeci uderzał od czasu do czasu w cymbały z nadzwyczajną gwałtownością. Tak byli zadowoleni sami ze siebie, że chociaż tłum już się porozchodził, oni nie przerywali swojej dziwkiej muzyki. W końcu, pozbierali grosze, zabrali tłomoki na plecy i poszli dalej. Chcąc się dowiedzieć gdzie mieszkają, szpiegowałem ich z daleka aż do skraju lasu, gdzie zrozumiałem tylko, że nie mieszkają nigdzie. Tam jeden z nich rzekł: „Czy mam rozpiąć namiot?”

„Dalibóg! nie!“ odpowiedział drugi, „noc taka cudna“.

Trzeci mówił, licząc zarobek: „Ci ludzie tutaj nie rozumieją muzyki a ich kobiety tańczą jak niedźwiedzie. Ale na szczęście, przed końcem tego miesiąca jeszcze, będziemy w Austrii, gdzie znajdziemy przyjemniejszy naród“.

„Możeby lepiej było pójść do Hiszpanii, gdyż pora roku już spóźniona; uciekajmy przed deszczami, bo tylko gardło dobrze zwilżyć“, rzekł jeden z dwóch innych.

Zapamiętałem wszystko, jak widzicie. Potem wypił każdy z nich czarnekę wódki i zasnęli z twarzą zwróconą na gwiazdy. Zrazu miałem ochotę prosić ich, by mnie wzięli ze sobą i nauczyli grać na swych instrumentach, ale nie śmiałem jakoś, pewnie dlatego, że zawsze trudno jest zdecydować się na cośkolwiek i także z obawy, aby mnie nie złapano, nim się wydam z granic Francji“.

Mało zainteresowana mina trzech tamtych towarzyszy kazała mi się domyślać, że ten mały był już jednym z *niezrozumianych*. Przypatrywałem mu się uważnie: miał coś w oczach i na czole, jakgdyby jakieś fatalne piętno, które powszechnie odstręcza sympatyę, a które nie wiem dlaczego wzbudziło ją we mnie i to w tym

stopniu, że przez chwilę miałem tę dziwną myśl, że mogę mieć nieznanego mnie samego brata.

Słońce zaszło. Uroczysta noc nastąpiła. Dzieci rozeszły się, idąc każde nieświadomie wedle okoliczności i przypadków dojrzywać do swego losu, gorszyć swych bliźnich i ciężać ku chwale, lub hańbie.

XXXII.

TYRS.

Dla Franciszka Liszta.

CÓŻ to jest tyrs? Wedle poetycznego i moralnego rozumienia jest to godło kaptańskie w ręku kapłanów i kapłanek wielbiących bóstwo, którego są tłumaczami i służebnikami. Ale fizycznie jest to tylko laska, zwyczajna laska, tyka od chmielu, żerdź winna, sucha, twarda i prosta. Około tej laski w kapryśnych zakrętach igrają i swawolą gałązki i kwiaty, te kręte i smigłe; tamte zwieszane, jak dzwonki, lub kielichy odwrócone. I dziwna gloria tryszcze z tego powiązania linii i barw delikatnych lub jaskrawych. Czyż nie możnaby rzec, że wszystkie te delikatne korony, wszystkie te kielichy, wybuchy woni i barw, wykonują mistyczne fandango w koło świętej laski? I któryż tedy niebaczny śmiertelnik śmiałby zawyrokować, czy kwiaty i winna gałązka uczynione zostały dla laski, czy też laska jest tylko pretekstem, by okazać piękność winnej gałązki i kwiatów? Tyrs jest

wyobrażeniem Twej zadziwiającej dwoistości, Mistrzu potężny i uwielbiony, drogi Bachancie Piękności tajemniczej i namiętnej. Nigdy nimfa, podniecona przez niepokonanego Bachusa, nie wstrząsała tyrsem nad głowami swych rozszalałych towarzyszek z taką energią i fantazyą, jak Ty potrząsaszwym geniuszem nad sercami swych braci. — Laska, to Twoja wola, prosta, stała, nieugięta; kwiaty, to obieg Twej fantazyi dookoła Twej woli, to żywioł żeński wykonujący w około męskości swe czarodziejskie pląsy. Linia prosta i linia arabeskowa, zamiar i wykonanie, hart woli, giętkość słowa, jedność celu, różność środków, amalgam silny i nierozdzielny geniuszu; któryż analityk miałby tę ohydłą śmiałość rozdzielić Cię i rozłączyć?

Drogi Liszcie, przez mgły, poza rzeki, ponad miasta, gdzie fortepiany śpiewają Twą chwałę, gdzie drukarnia tłómaczy Twą mądrość, gdziekolwiek jesteś, w przepychach wiecznego Miasta, czy w mgłach krain marzycielskich, które pociesza Gambrinus, improwizujący śpiewy rozkoszy, czy niewypowiedzianych boleści, lub powierzający papierowi swe rozmyślenia zawile, Śpiewaku Rozkoszy i Trwogi wieczystej, filozofie, poeto i artysto — bądź mi pozdrowion po wszystkie wieki!

XXXIII.

UPAJAJCIE SIĘ.

TRZEBA się zawsze upajać. W tem cała rzecz: to jedyna zasada. Aby nie odczuwać straszliwego ciężaru Czasu, co druzgoce twe ramiona i pochyla cię do ziemi, trzeba się upajać bez końca.

Ale czem? Winem, poezją lub cnotą, do woli: Ale upajajcie się.

A jeżeli kiedy, gdy upojenie zmniejszy się lub zniknie, przebudzicie się na stopniach pałacu, na zielonych chwastach rowu, lub w ponurej samotności waszego pokoju, zapytajcie wiatru, fali, gwiazdy, ptaka, zegara, wszystkiego co wzdycha, wszystkiego co się toczy, wszystkiego co śpiewa, wszystkiego co mówi, zapytajcie która godzina, a wiatr, fala, gwiazda, ptak, zegar, odpowiedzą wam: Jest godzina, o której upajać się trzeba! Aby nie być udrę-

czonym niewolnikiem Czasu, upajajcie się; upajajcie się bez przestanku! Winem, poezją lub cnotą — wedle woli“.

XXXIV.

JUŻ!

SETKI razy wytryskiwało już słońce, promieniające lub zasmucone z poza tej niezmierzonej kadzi morza, której brzegi zaledwie dojrzyć się dadzą; setki razy pogrążało się jaśniające lub zadąsane w swej niezmierzonej kąpieli wieczornej. Od kilku już dni mogliśmy podziwiać drugą stronę firmamentu i odczytywać niebieski alfabet antypodów. Każdy z podróżnych wzdychał i szemrał. Rzec by można, że zbliżanie się ziemi rozjątrzało ich cierpienie. „Kiedyż nareszcie, mówili, przestaniemy spać snem podrzucanym przez fale, zakłócanym przez wiatr, co chrapie głośniejsz niż my? Kiedyż będziemy mogli trawić w nieruchomym fotelu“?

Byli tam i tacy, co myśleli o swem ognisku, co żalowali niewiernych i zadąsanych żon i krzykliwego potomstwa. Wszyscy byli tak oszoło-

mieni obrazem nieobecnej ziemi, że byliby jedli trawę, zdaje się, z większym zachwytem niż zwierzęta.

Nareszcie sygnalizowano wybrzeże — i zobaczyliśmy, zbliżywszy się, że była to ziemia wspańska, czarująca. Zdawało się, że muzyka życia rozlewała się tam w nieokreślonym szepcie, i że te zbrocza bogate w różnorodną zieleń dyssały aż na kilka mil w około rozkoszną wonią kwiatów i owoców.

To też zaraz wszyscy się rozweselili, wszyscy zapomnieli o złym humorze. Zapomniano wszystkich sprzeczek, przebaczone sobie wzajemnie wszystkie urazy, umówione pojedynki zatarły się w pamięci a gniewy uleciały jak para.

Ja jeden tylko byłem smutny, niepojęcie smutny. Podobny do kapłana, któremu wydarto jego bóstwo, nie mogłem bez gryzącej goryczy oderwać się od tego morza tak potwornie czarującego, od tego morza tak nieskończenie zmiennego w swej przestraszającej prostocie, które zdaje się zawierać i przedstawiać w swych igraszkach, w swych ruchach, gniewach i uśmiechach, nastroje, dreszcze i zachwyty wszystkich dusz, które żyły, które żyją i które żyć będą!

Żegnając się z tą nieporównaną pięknnością, czułem się śmiertelnie przygnębnym i dla-

tego to, gdy każdy z mych towarzyszy mówił: „Nareszcie“! ja mogłem wykrzyknąć tylko „Już“!

A tymczasem otóż i ziemia, ziemia ze swym hałasem, namiętnościami, udogodnieniami i uroczystościami; otóż ziemia bogata i wspaniała, pełna obietnic, która nam posyłała tajemniczy zapach róż i piżma, skąd muzyka życia dochodziła do nas miłosnym szeptem!

XXXV.

OKNA.

TEN, co patrzy z zewnątrz przez okno otwarte, nie widzi nigdy tylu rzeczy, co ten, kto patrzy na okno zamknięte. Niema przedmiotu głębszego, więcej tajemniczego, płodniejszego, posępniejszego, więcej olśniewającego, jak okno rozjaśnione świecą. To co można widzieć w słońcu jest zawsze mniej zajmujące, niż to, co się dzieje poza szybą. W tym czarnym, świetlistym otworze żyje życie, marzy życie, cierpi życie.

Ponad faliste dachy widzę kobietę dojrzałą, zmarszczkami okrytą, biedną, zawsze schyloną nad czemś, która nie wychodzi nigdy. Z twarzy, z odzieży, z ruchów, z czegoś, co jest niczem, odtworzyłem historię tej kobiety albo raczej jej legendę, i czasem opowiadam ją sobie sam, płacząc.

Gdyby to był biedny stary człowiek, byłbym równie łatwo odtworzył jego historię.

I kładę się dumny nie ze siebie, lecz, że żyłem i cierpiałem w drugich.

A może mi powiecie: „Jest-żeś tego pewny, że ta legenda jest prawdziwa“? Mniejsza o to, jaka może być rzeczywistość poza mną, jeżeli pomogła mi żyć i czuć, że jestem i czem jestem!

XXXVI.

ŻĄDZA MALOWANIA.

NIESZCZĘŚLIWY być może człowiek, ale szczęśliwy artysta, którego żądza pożera!

Spala mnie chęć malowania tej, która zjawiała mi się tak rzadko, a uciekała tak szybko, jak rzecz piękna i nieodżałowana mimo podróżnika pędzącego wśród nocy. Jakże to już dawno, odkąd mi znikła!

Jest ona piękna i więcej niż piękna; ona jest zadziwiająca. Pełno w niej czerności; a wszystko czem natchnie, jest nocą i głębią. Jej oczy to dwie jaskinie, w których migoce niewyraźnie tajemnica; spojrzenie jej oświeca jak błyskawica — jest to wybuch w ciemnościach.

Przyrównałbym ją do czarnego słońca, jeśliby sobie można wyobrazić czarną gwiazdę rozsiewającą światło i szczęście. Ale ona raczej każe myśleć o księżycu, który ją niewątpliwie na-

piętnował swym straszliwym wpływem; nie o białym księżycu zgubnym i upajającym, zawieszonym wśród nocy burzliwej i potrącanym przez chmury co biegną; nie o księżycu spokojnym i dyskretnym nawiedzającym sen ludzi czystych, ale o księżycu wyrwanym z nieba, zwyciężonym i zbuntowanym, który nieubłaganie zmuszają czarownice tessalskie tańczyć po przestraszonej trawie!

W jej małym czole mieszka uparta wola i miłość łupu. Jednak u dołu tej niepokojącej twarzy, której ruchliwe nozdrza wietrzą rzeczy nieznanne i niemożliwe, jaśniej niewypowiedzianym wdziękiem uśmiech wielkich ust czerwonych i białych i rozkosznych, które każą marzyć o cudzie rozwiniętego kwiatu na ziemi wulkanicznej.

✓ Są kobiety, co wzbudzają chęć zwyciężenia ich i bawienia się nimi; ale ta budzi pragnienie powolnej śmierci w jej spojrzeniu. ✓

XXXVII.

DOBRODZIEJSTWA KSIĘŻYCA.

KSIĘŻYC, który jest kaprysem samym, spoglądał przez okno podczas gdyś ty spała w kołysce i powiedział sobie: „To dziecię podobna mi się“!

I zstąpił miękko po schodach obłoków i przeszedł bez szelestu przez szyby. Potem rozciągnął się nad tobą słodką pieśczęcią matki i złożył swe barwy na twojej twarzy. Stąd twe oczy pozostały zielone, a twe lica niezwykle blade. To podczas wpatrywania się w tego przybysza powiększyły się tak dziwnie twe oczy; a on tak czule ścisnął twą szyję, że już na zawsze pozostała w tobie ochota do płaczu.

Tymczasem Księżyc w rozlewie swej rozkoszy napełnił cały pokój jakby atmosferą fosforyczną, jakby trucizną świetlną — i wszystko to światło żywe myślało i mówiło: „Będziesz pod-

legła wieczyście wpływowi mego pocałunku. Będiesz piękna na mój sposób. Będziesz kochała to, co ja kocham i to, co mnie kocha: wodę, obłoki, milczenie i noc, morze niezmiernie i zielone, wodę bezkształtną i wielokształtną miejsce, w którym nie będziesz, kochanka, którego nie poznasz, kwiaty potworne, zapachy, co oszłamiają i koty co spazmują na fortepianach i wzdychają jak kobiety głosem ochrypłym i słodkim!

„I moi kochankowie będą cię kochać, moi zalotnicy będą ci się zalecać. Będiesz królową ludzi o zielonych oczach, którym tak samo ścisnąłem szyję wśród nocnych pieszczót; tych co kochają morze, morze ogromne, burzliwe i zielone, wodę bezkształtną i wielokształtną, miejsce, gdzie ich niema, kobiety, których nie znają, kwiaty zgubne, co są podobne kadzielnicom nieznannej religii, wonie, co mącą wolę, i zwierzęta dzikie i lubieżne, które są symbolem ich szaleństwa“.

Dlatego to, przekłete, drogie, zepsute dziecko, leżę teraz u twych nóg, szukając w całej twej postaci odbłysku Bóstwa, chrzestnej matki przeznaczenia, zatruwającej żywicielki wszystkich *lunatyków*.

XXXVIII.

KTÓRAŻ JEST PRAWDZIWA?

ZNALEM niejaką Benedyktę, którą przepoiła atmosfera ideału i której oczy rozniecały żądę wielkości, piękności, chwały i wszystkiego tego, przez co się wierzy w nieśmiertelność.

Ale ta cudowna dziewczyna zbyt była piękna, by żyć długo; to też umarła w parę dni potem, jak ja ją poznałem, i ja sam ją pogrzebałem w dniu, gdy wiosna rozbijała swe kadzielnice aż ponad cmentarze. Ja ją to pogrzebałem, dobrze zamkniętą w trumnie z drzewa pachnącego i nie próchniejącego, jak kufry indyjskie.

A gdy topiłem oczy w miejscu, gdzie był zakopany mój skarb, zobaczyłem nagle małą osobkę dziwnie podobną do zmarłej, która drepcząc po świeżej jeszcze ziemi z gwałtownością histeryczną i dziwaczną, mówiła wybuchając śmiechem: „To ja jestem prawdziwa Benedykta!

To ja, ta sławna kanalia! I dla kary za twoje szaleństwo i zaślepienie będziesz mnie kochała taką, jak jestem!”

Ale ja, wściekły, odpowiedziałem: „Nie! Nie! Nie! I aby dodać nacisku odmowie, uderzyłem tak mocno w ziemię nogą, że ugrzęzła mi aż po kolano w świeżej mogile i, jak wilk złapany w sidła, zostałem związany może na zawsze z grobem Ideału.

XXXIX.

RASOWA KLACZ.

JEST wcale brzydka. A przecież jest cudowna! Czas i Miłość naznaczyły ją pazurami i dały jej okrutnie poznać, ile każda minuta i każdy pocałunek zabierają młodości i świeżości.

Jest w istocie brzydka; jest mrówką, pajakiem, jeśli chcecie, nawet szkieletem; ale jest również trunkiem, wodą życia, czarodziejstwem — słowem, jest pyszna!

Czas nie zdołał zepsuć harmonii jej różnego chodu, ani elegancyi jej niezniszczalnych ozdób. Miłość nie zniżyła słodyczy jej dziecięcego oddechu, a Czas nie przerzedził jej bujnej grzywy, z której zionie w płowych woniach cała djabelska jędrność francuskiego Południa: Nimes, Aix, Arles, Avinion, Narbona, Tuluza, błogosławione miasta słońca, zalotne i czarujące!

Czas i Miłość napróżno ją kąsały zajadle;

w niczem nie zmniejszyły tego nieokreślonego, ale wiecznego czaru jej chłopięcej piersi.

Zużyta może, ale nie zmęczona i zawsze bohaterka, przypomina nam ona konie szlachetnej rasy, które oko prawdziwego znawcy rozpozna zaprzężone nawet do wynajętej karocy, lub do ciężkiego wozu.

A przytem jest tak słodka i tak gorąca! Ona kocha tak, jak się kocha w jesieni; zda się, że bliskość zimy rozpala w jej sercu nowy ogień, a służalstwo jej czułości niema nigdy nic nużącego w sobie.

XL.

ZWIERCIADŁO.

JAKIŚ przestraszający człowiek wchodzi i przegląda się w lustrze.

„Dlaczegoż zaglądasz w zwierciadło, kiedy musisz ze wstrętem patrzeć tam na siebie?”

Przestraszający człowiek mi odpowiada: „Panie, według nieśmiertelnych zasad z 89 r. wszyscy ludzie mają równe prawa, więc ja mam prawo przeglądać się; a czy z przyjemnością, czy z nieprzyjemnością, to już rzecz moja”.

W imię zdrowego rozsądku miałem bez wątpienia słuszność, ale z punktu widzenia prawa nie miał on niesłuszności.

XLI.

PRZYSTAŃ.

PRZYSTAŃ jest uroczem miejscem pobytu dla duszy znużonej w zapasach życia. Ogrom nieba, ruchome architektury chmur, zmienne ubarwienie morza, migotanie latarni morskich, są pryzmatem cudownie zdolnym bawić oczy bez znużenia ich kiedykolwiek. Wysmukłe kształty okrętów o skomplikowanej sieci linii i masztów, które fala wprawia w harmonijne kołysanie, przyczyniają się do utrzymania w duszy uczucia rytmu i piękności. A wreszcie nadewszystko jest to rodzaj rozkoszy tajemniczej i arystokratycznej dla tego, co nie ma ni ciekawości, ni ambicyi: przypatrywać się, leżąc na skwerze lub usiadłszy na tamie, całemu owemu ruchowi tych, co odjeżdżają i tych, co przyjeżdżają, tych, co mają jeszcze dość siły, aby chcieć, żądy, by podróżować albo wzbogacać się.

XLII.

PORTRETY KOCHANEK.

W męskim buduarze, a raczej w pokoju do palenia, przylegającym do eleganckiej karciiarni, czterech mężczyzn paliło i piło. Nie byli oni właściwie ani młodzi, ani starzy, ani piękni, ani brzydzy; ale starzy, czy młodzi odznaczali się tą wytwornością nie do pogardzenia weteranów rozkoszy, tem nieopisanem czemś, tym zimnym i żartobliwym smutkiem, co mówi wyraźnie: „Żyliśmy tego i nie wiemy, co byśmy mogli kochać i szanować“.

Jeden z nich zwrócił rozmowę na kobiety. Byłoby filozoficzniej nie mówić o nich wcale, ale są ludzie inteligentni, którzy podpiwszy sobie, nie pogardzają banalnemi rozmowami. Słucha się wtedy tak tego, co mówi, jak słuchałoby się muzyki do tańca.

„Wszyscy ludzie, mówił tenże, przechodzili

wiek Cherubina: to jest epokę, w której w braku Dryjad ściska się bez wstrętu nawet pień dębu. Jest to pierwszy stopień miłości. W drugim stopniu zaczyna się już przebierać. Mózg rozważać, to już jest upadek. Wtedy to poszukuje się stanowczo piękności. Co do mnie, moi panowie, to chlubię się tem, że od dawna doszedłem już do epoki przelomowej stopnia trzeciego, gdzie już sama piękność nie wystarcza, jeżeli nie jest zaprawiona wonią, strojem i t. d. Przyznam się nawet, że wzdycham czasami jakby do nieznanego szczęścia, do jakiegoś czwartego stopnia, który by się odznaczał bezwzględnym spokojem. Ale przez całe życie, z wyjątkiem wieku Cherubina, nad wszystko inne byłem wrażliwy na denerwującą głupotę, na irytującą mierność kobiet. Co najwięcej lubię u zwierząt, to ich prostotę. Osądźcie zatem, ile musiałem wycierpieć z powodu mej ostatniej kochanki.

„Była ona dzieckiem miłości jakiegoś księcia. Piękna, to się rozumie; gdyby nie to, dlaczegóż bym ją był brał? Ale psuła ten wielki przymiot nieprzystojną i niezgrabną ambicyą. Była to kobieta, co chciała zawsze udawać mężczyznę! „Ach, gdybym ja była mężczyzną! Z nas dwojga, to ja jestem mężczyzna!“ Takie to nieznośne zwroty wychodziły z tych ust, z których chcia-

łem był tylko widzieć ulatujące piosenki. Na przykład, jeśli wyrwałem się z uwielbieniem dla jakiejś książki, jakiegoś poematu lub opery, mówiła zaraz: „Ty może myślisz, że to jest bardzo potężne? czyż ty się znasz na sile?” i dowodziła.

„Pewnego pięknego dnia wzięła się do chemii, w ten sposób, że pomiędzy jej, a moimi ustami znajdowałem odtąd maskę szklaną. Przytem wszystkim, straszna świętoszka. Jeżeli kiedykolwiek dotknąłem ją ruchem trochę zanadto miłosnym, rzucała się, jak mimosa zgwałcona...

— Jakże się to skończyło? spytał jeden z trzech innych. Nie myślałem, że jesteś tak cierpliwy.

— Bóg, odpowiedział, dał lekarstwo w samej chorobie. Pewnego dnia złapałem tę Minerwę łakomą siły idealnej w czułem sam-na-sam z moim służącym i w sytuacji, która mię zmusiła usunąć się dyskretnie, aby ich nie zarumienić. Wieczór odprawiłem ich oboje, wypłaciwszy im zaległą pensję.

— Ja zaś, zaczął drugi, muszę się skarżyć tylko na siebie samego. Szczęście przyszło zamieszkać ze mną, a ja go nie poznałem. Przeznaczenie zesłało mi w tych ostatnich czasach pociechę z kobiety, która była najśłodsza, naj-

pokorniejsza i najwięcej poświęcająca się ze wszystkich istot, a zawsze uległa, a bez szalu! „I owszem, chętnie, kiedy ci to przyjemność sprawia“. To była jej zwykła odpowiedź. Waląc kijami w tę ścianę, lub w tę sofę, więcej byście westchnień z niej wydobyli, niż wybuchy mej najszaleńszej miłości wydobywały ich z piersi mej kochanki. Po roku wspólnego pożycia wyznała mi, że nie doznała nigdy rozkoszy. Obrzydły mi te nierówne zapasy, a ta niezrównana dziewczyna wyszła za mąż. Później przyszła mi pewnego razu chęć odwiedzić ją, a ona powiedziała mi, pokazując mi sześcioro dorodnych dzieciaków: „Tak! tak, mój drogi przyjacielu, żona jest jeszcze tak samo *dziewicą*, jak była twoja kochanka“. Nic się w niej nie zmieniło. Czasem mi jej żał; trzeba mi się z nią było ożenić“.

Inni zaczęli się śmiać, a trzeci mówił z kolei:

„Moi panowie, ja miałem przyjemności, jakich wyście może nie doznali. Mówię tu o komizmie w miłości, i to o komizmie, który nie wyklucza podziwu. Podziwiałem mą ostatnią kochankę więcej zdaje mi się, niż wyście mogli kochać lub nienawidzić wasze. I wszyscy ją podziwiali zarówno ze mną. Zaledwie weszliśmy do restauracyi, po upływie kilku minut każdy

zapominał o jedzeniu, ażeby się na nią patrzeć. Służący nawet i dama przy bufecie przejmowali się tym zaraźliwym zachwytem aż do zapomnienia o swych obowiązkach. Słowem, żyłem pewien czas przy boku żywego *fenomenu*. Ona jadła, żuła, gryzła, pożerała, połykała, ale z najswobodniejszą i najniewinniejszą miną w świecie. I tak długo trzymała mnie w podziwie. Miała słodki, marzący, anielski i romantyczny sposób mówienia: „Jestem głodna!“ I powtarzała te słowa we dnie i w nocy, pokazując przytem najpiękniejsze ząbki w świecie, które mogły być rozczulić i rozweselić zarazem. — Mogłem być zrobić majątek, pokazując ją na jarmarkach jako *żarłocznego potwora*. Odżywiałem ją dobrze, a jednak mnie opuściła... — dla dostawcy żywności bezwątpienia? — Coś podobnego, rodzaj nadzorca w intendenturze, który przez znane sobie wykręty dostarcza może temu biednemu dziecku porcyę kilku żołnierzy. Przynajmniej tak mi się zdaje.

— Ja, rzekł czwarty, doznałem srogich cierpień przez przeciwieństwo tego, co się zarzuca powszechnie samolubnej kobiecie. Złeście się wybrali, zanadto szczęśliwi śmiertelnicy, skarżąc się na niedoskonałości waszych kochanek!“

Powiedział to głosem bardzo poważnym

człowiek o wyglądzie łagodnym i statecznym, o twarzy niemal księżej, oświetlonej złowrogo oczyma jasno szaremi, oczyma, których spojrzenie mówi: „Chcę!“ albo „Trzeba!“ albo też: „Ja nie przebaczam nigdy!“ –

„Gdyby który z was, ty, G..., nerwowy o ile cię znam, albo wy dwaj, K. i J., leniwi i lekko-myślni, jakimi jesteście, połączył się z pewną znaną mi kobietą, byłby z pewnością albo uciekł, albo umarł. Ja przeżyłem to, jak widzicie. Wyobraźcie sobie osobę niezdolną do popełnienia omyłki w uczuciu, lub rachunku; wyobraźcie sobie nieznośnie pogodny charakter, poświęcenie bez komedyi i przesady, słodycz bez słabości, energię bez gwałtowności. Historia mojej miłości podobna jest do nieskończonej podróży po powierzchni czystej i gładkiej jak zwierciadło, monotonnej aż do zawrotu głowy, która by odbijała wszystkie me uczucia i ruchy z ironiczną dokładnością mego własnego sumienia, do tego stopnia, iż nie mógłbym sobie pozwolić na żadne nierozsądne uczucie lub ruch, żeby nie spostrzedz natychmiast niemego wyrzutu mego nierozłącznego widma. Miłość ukazywała się w postaci opieki. Ileż ona głupstw nie dała mi zrobić, których niepopelnienia żałuję! Ile długów spleconych mimo mej woli! Pozbawiała

mnie wszystkich korzyści, jakie mogłem być wyciągnąć z przyrodzonego mi szaleństwa. Zimną i nieprzekraczalną regułą zagradzała wszystkie me kaprysy. Na domiar okropności, po uniknięciu niebezpieczeństwie, nie wymagała uznania. Ileż razy wstrzymywać się musiałem, by nie skoczyć jej do gardła i nie krzyknąć: „Bądźże raz niedoskonała, nędznico! abym cię mógł kochać bez złości i bez gniewu!” Przez kilka lat podziwiałem ją z sercem pełnym nienawiści. W końcu, no! nie ja umarłem z tego!

— Ach! wykrzyknęli tamci, więc umarła?

— Tak! nie mogło tak być dłużej. Miłość stała się dla mnie przygnębiającą zmorą. Zwyciężyć lub umrzeć, jak mówi Polityka, to była alternatywa, krółą mi los postawił! Pewnego wieczoru, w lesie..., nad brzegiem sadzawki..., po melancholijnej przechadzce, kiedy jej oczy odbijały słodycz nieba, a moje serce kurczyło się, jak piekło...

— Co!

— Jak!

— Co mówisz?

— To było nieuniknione. Zawiele mam poczucia sprawiedliwości, aby bić, znieważać, lub odprawiać służącego bez zarzutu. Ale trzeba było pogodzić to poczucie ze wstrętem, jakim

mnie to stworzenie napełniało, uwolnić się od tej istoty, nie uchybiając jej w szacunku. I cóż chcecie, bym z nią był zrobił, *kiedy ona była doskonała*“ ?

Trzej pozostali towarzysze patrzyli na niego wzrokiem niepewnym i nieco obłądnym, jakby udając, że go nie rozumieją i przyznając niejasno, że co do nich, nie czuli by się zdolnymi do takiego ostrego postąpienia, jakkolwiek usprawiedliwionego dostatecznie skądinąd.

W końcu zawołano o świeże butelki dla zabicia czasu, co mieści się w życiu tak twarde i dla przyspieszenia tego życia, co wlecze się tak wolno.

XLIII.

GRZECZNY STRZELEC.

G DY powóz przejeżdżał przez lasek, kazał stanąć w pobliżu strzelnicy, mówiąc, że miałby ochotę dać parę strzałów dla *zabicia* Czasu. Zabijanie tego potwora nie jest-że najzwyczajszem i najszlachetniejszym zajęciem każdego? -- I podał uprzejmie rękę swojej drogiej, rozkosznej i nieznośnej żonie, tej kobiecie tajemniczej, której zawdzięcza tyle przyjemności, tyle boleści, a może także większą część swego geniuszu.

Kilka kul chybiło celu, jedna z nich nawet utkwiła w powale; a gdy ta milutka kreatura śmiała się do szaleństwa, szydząc z niezręczności małżonka, on obrócił się żywo ku niej i rzekł: „Patrz na tę lalkę, tam na prawo, z nosem zadartym i z miną tak wyniosłą. Otóż! drogi aniele, *wyobrażam sobie, że to ty*“. I zamknął-

szy oczy spuścił cyngiel. Kula oderwała lalce głowę.

Wtedy skłoniwszy się swojej drogiej, rozkosznej, swojej nieznośnej żonie, swej nieuni-
knionej i nielitościwej Muzie, pocałował z usza-
nowaniem jej rękę i rzekł: „A! mój drogi aniele,
jakżeż ci dziękuję za tę zręczność!”

XLIV.

ZUPA I OBŁOKI.

MOJA mała droga swawolnica podawała mi obiad, a ja wpatrywałem się przez otwarte okno jadalni w ruchome architektury, które Bóg tworzy z mgieł, cudowne budynki niedotykalne. I mówiłem sobie podczas tego wpatrywania: „Wszystkie te fantasmagorye są niemal tak piękne, jak oczy mojej pięknej ukochanej, tej małej, okrutnej swawolnicy o zielonych oczach“.

Gdy wtém nagle dostałem pięścią w kark i usłyszałem głos chrapliwy i miły, głos histeryczny, jakby ochrypły wódką, głos mojej drogiej ukochanej, która mi mówiła: „Będziesz ty już raz jadł tę zupę, głupi bydlaku handlujący chmurami?“

XLV.

STRZELNICA I CMENTARZ.

Pod widokiem cmentarza. Gospoda. — „Szczególny napis, powiedział sobie nasz przechodzień, ale dobry dla obudzenia pragnienia! Z pewnością właściciel tego szynku umie ocenić Horacego i poetów, uczni Epikura. A może zna także wyszukaną subtelność starożytnych Egipcyan, dla których nie było dobrej uczyty bez kościotrupa, lub bez jakiegokolwiek innego symbolu krótkości życia“.

I wszedł, wypił szklanekę piwa naprzeciwko grobów i zapalił powoli cygaro. Potem przyszła mu fantazyja zejść na ten cmentarz, którego trawa była tak wysoka i tak zapraszająca, i gdzie królowało tak bogate słońce.

W istocie światło i upał wyprawiały tu harce, i rzec by można, że słońce pijane przewracało się jak długie po dywanie przepysznych kwiatów

odżywianych zgnilizną. Ogromny szmer życia nappełniał powietrze, — życia nieskończenie małych, — przerywanego w odstępach regularnych trzaskiem wystrzałów ze sąsiedniej strzelnicy, które wybuchały, jak korek szampański wśród brzęczenia cichej symfonii.

Wtedy to w słońcu, które mu ogrzewało mózg, i w atmosferze gorących woni Śmierci, usłyszał głos szepczący z grobu, na którym siedział. A głos ten mówił: „Przekleństwo waszym tarczom celowym i waszym karabinom, niesforni żyjący, co się tak mało troszczycie o umarłych i o ich boski spoczynek! Przekleństwo waszym ambicyom, przekleństwo waszym rachunkom, niecierpliwi śmiertelnicy, którzy przychodzicie uczyć się sztuki zabijania obok świątyni Śmierci! Gdybyście wiedzieli, jak ta nagroda jest łatwa do osiągnięcia, a ten cel jest łatwy do ugodzenia, i jaką nicością jest wszystko prócz Śmierci, nie trudzili byście się tak, pracowici żyjący i zakłócali byście mniej często sen tych, którzy od dawna już doszli do celu, do jedyne go, do prawdziwego celu nieznośnego życia!“

XLVI.

STRATA AUREOLI.

JAKTO! ty tutaj, mój drogi! Ty w takim uie-
przyzwoitem miejscu! ty, co pijasz nektar,
co jadasz ambrozyę! W istocie, jest się czemu
dziwić.

— Mój drogi, ty znasz mój strach przed
końmi i powozami. Dopiero co, gdy przecho-
dziłem przez ulicę pośpiesznie skacząc po bło-
cie, poprzez ten ruchliwy zamęt, gdzie śmierć
przyjeżdża galopem ze wszystkich stron na raz,
w gwałtownym ruchu zesunęła mi się z głowy
aureola w błoto ulicy. Nie miałem odwagi jej
podnieść. Zdało mi się rzeczą mniej przykrą
stracić oznakę, niż dać sobie połamać kości.
A zresztą, powiedziałem sobie, niema złego, co
by na dobre nie wyszło. Mogę sobie teraz cho-
dzić *incognito*, dopuszczać się niskich czynów
i oddawać się pijaństwu, jak zwykli śmiertel-

nicy. I otóż jestem całkiem podobny do ciebie, jak widzisz!

– Powinieneś przynajmniej ogłosić afiszami zgubę tej aureoli, albo poszukiwać jej przez komisarza.

– Dalibóg! nigdy. Bardzo mi tu dobrze. Ty jeden mnie poznałeś. Zresztą dostojęństwo mnie nudzi. Potem z uciechą myślę o tem, że jakiś lichy poeta podniesie ją może i uwieńczy się nią bezczelnie. Uczynić kogoś szczęśliwym, co za rozkosz! a nadto szczęśliwym, który mnie rozśmiesza! Pomyśl tylko o X, lub o Z! Hej! jakie to będzie zabawne!“

XLVII.

PANNA BISTOURI.

S KORO dochodziłem do końca przedmieścia, w świetle gazu, uczułem wsuwającą się łagodnie rękę pod moje ramię i usłyszałem głos mówiący mi do ucha: „Pan jesteś lekarzem?”

Spojrzałem: była to wysoka, silna dziewczyna, o szeroko otwartych oczach, lekko uróżowana, z włosami, które igrały z wiatrem wespół z wstążkami jej kapelusza.

„Nie, ja nie jestem lekarzem. Zostaw mnie w spokoju. — Ależ, tak! pan jest lekarzem. Widzę to dobrze. Chodź pan do mnie. Będziesz bardzo zadowolony ze mnie, chodź! — Zapewne, odwiedzę cię, ale później, *po lekarzu* u dyabła!... Ha! ha! zawołała, uwieszona ciągle u niego ramienia i wybuchając śmiechem, — pan jesteś lekarzem figlarnym; znałam kilku tego rodzaju. Chodź“.

Lubię namiętnie tajemnicę, ponieważ mam zawsze nadzieję wyjaśnienia jej. Dałem się więc pociągnąć tej towarzysze, a raczej tej niespodzianej zagadce.

Pomijam opis mieszkania; można go znaleźć u kilku starych poetów francuskich dobrze znanych. Tylko szczegół, niezauważony przez Regniera: dwa czy trzy portrety sławnych lekarzy wisiały na ścianie.

Jakże ona mi dogadzała! Ogień na kominu, grzane wino, cygara — a częstując mnie temi wszystkimi dobrymi rzeczami i zapalając także cygaro, to cudaczne stworzenie mówiło do mnie: „Bądź pan jak u siebie, mój przyjacielu, nie krępuj się niczem. To panu przypomni szpital i dobre czasy młodości... Ah! aj! skądże pan ma takie białe włosy? Nie byłeś pan taki niedawno jeszcze temu, gdy byłeś uczniem dra L... Przypominam sobie, że to pan sam asystował mu przy poważnych operacjach. Oto człowiek, co lubi przecinać, krajać, ucinać! To pan trzymał mu narzędzia, nici i gąbki... A jak on to po skończonej operacji mawiał dumnie, poglądając na zegarek: „Pięć minut, moi panowie!“ O! ja bywam wszędzie! Ja znam dobrze tych panów“.

W parę chwil później, „tykając“ mnie, za-

częła swoje na nowo i mówiła: „Ty jesteś lekarzem, nieprawdaż mój kotku?”

Ta niepojęta zwrotka sprawiła, że skoczyłem na równe nogi. „Nie!” krzyknąłem wściekły.

– Chirurgiem tedy?

– Nie! Nie! chyba, aby tobie łeb uciąć, ty ś..... p....!

– Czekaj, odparła, pokażę ci coś.

I wyciągnęła ze szafy plikę papierów, która, jak się okazało, była zbiorem portretów sławnych lekarzy tego czasu, litografowanych przez Maurina, jakie można było widzieć rozwieszone przez kilka lat na skwerze Voltaira.

– Patrz! poznajesz go, tego tu?

– Tak, to H... Nazwisko jest u dołu zresztą, ale ja go znam osobiście.

– Wiedziałam dobrze o tem! Widzisz! oto Z..., ten, co mówił w swych wykładach, opowiadając o H...: „Ten potwór, co nosi na twarzy szkaradę swej duszy!” Wszystko dlatego, że tamten nie podzielał jego zdania w pewnej sprawie! Jakże śmiano się z tego w Szkole, w tym czasie! Przypominasz to sobie?... Masz! oto K..., ten, co doniósł rządowi o powstańcach, których pielęgnował w swoim szpitalu. Był to czas rozruchów. Jak to możliwe, żeby

taki ładny człowiek miał tak mało serca?... Oto masz, teraz W..., sławny angielski lekarz; złapałam go podczas jego podróży do Paryża. Ma minę panienki, nieprawdaż?”

A gdym się dotknął innej paczki związanej i leżącej również na stoliku, rzekła: „Zaczekaj trochę... to są interniści, a ta paczka to są externiści“.

I rozwinęła jak wachlarz mnóstwo obrazków fotograficznych, przedstawiających twarze znacznie młodsze.

– Gdy się znów zobaczymy, dasz mi swój portret, nieprawdaż, drogi?

– Ale, rzekłem do niej opanowany z kolei jej uporczywą myślą, dlaczego sądzisz, że jestem lekarzem?

– To dlatego, że jesteś taki uprzejmy i dobry dla kobiet!

– Szczególna logika! powiedziałem sobie.

– Oh! ja się prawie nie mylę; znałam takich bardzo wielu. Lubię tak tych panów, że chociaż nie jestem słaba, idę czasem ich odwiedzić, nic, tylko ich odwiedzić. Są tacy, którzy mi mówią zimno: „Pani nie jesteś wcale chora!“ Ale są inni, co mnie rozumieją, gdyż robię do nich minki.

– A jak cię nie rozumieją?

— Cóż robić! za to, że mi ich zajmowała *daremnie*, zostawiam dziesięć franków na kominku... Tacy dobrzy i mili są ci ludzie!... Odkryłam u Miłosierdzia ucznia, co jest ładny jak anioł, a taki miły i pracuje, biedny chłopiec! Jego towarzysze powiedzieli mi, że nie miał grosza, gdyż jego rodzice są biedni i nie mogą mu nic przysyłać. To mi dodało ufności. Pozatem, jestem dość ładną kobietą, choć już nie tak młodą. Powiedziałam mu: „Przyjdź do mnie, przychodź do mnie często. I nie rób sobie ze mną kłopotu: ja nie potrzebuję pieniędzy“. Ale pojmiesz, że dałam mu to do zrozumienia tysiącem sposobów; nie powiedziałam mu tego bez ogródek; bałam się, bym go nie upokorzyła, to drogie dziecię!... I czy uwierzysz, że mam zabawną żądzę, do której nie śmiem się przyznać?... Chciałabym, by przyszedł do mnie ze swoją torbą, we fartuchu, nawet z odrobiną krwi na nim?...

Powiedziała to z miną bardzo niewinną tak, jak człowiek wrażliwy powiedziałby aktorce, którą uwielbia: „Chciałbym cię widzieć ubraną w kostyum, który miałaś w tej sławnej roli, jaką stworzyłaś“.

Ja nalegając powtórzyłem znowu: „Czy nie przypominasz sobie czasu i okoliczności, wśród

których zrodziło się w tobie to upodobanie tak dziwne?"

Trudno jej było zrozumieć mnie; w końcu doprowadziłem do tego. Ale wtedy odpowiedziała z miną bardzo smutną i nawet o ile pamiętam, odwracając oczy: „Nie wiem..., nie przypominam sobie“.

Jakież dziwactwa znaleźć można w wielkiem mieście, gdy się umie chodzić i patrzeć? Miasto roi się od niewinnych potworów. — Panie, mój Boże! Ty Stworzycielu, Ty Władco, Ty, co uczyniłeś Prawo i Wolność, Ty Mocarzu, który pozwalasz działać, Ty Sędzio, który przebaczasz, Ty coś jest pełen powodów i przyczyn, i który włożyłeś może w mój umysł zamiłowanie okropności, aby nawrócić me serce, niby lekarstwo podane na końcu noża; Panie zmiłuj się nad szalonymi i szalonemi! O Stworzycielu! czyż mogą istnieć potwory przed oczyma Tego, co sam wie dlaczego one istnieją, jak się *stały* takimi, i jak się mogły były nie stać?

XLVIII.

ANY WHERE OUT OF THE WORLD.

(GDZIEKOLWIEKBĄDŹ POZA ŚWIATEM).

ŻYCIE to jest szpitalem, gdzie każdego chorego gnębi żądza zmiany łoża. Ten chciałby cierpieć naprzeciw pieca, a ten znowu myśli, że wyzdrowieje blisko okna.

Zdaje mi się, że mnie będzie zawsze dobrze tam, gdzie mnie nie ma i o tej to sprawie przenosin naradzam się bez ustanku z duszą moją.

„Powiedz, moja duszo, biedna, od zimna drżąca duszo, cobyś myślała o zamieszkaniu w Lizbonie? Tam ma być ciepło, i rozkoszowałabyś się w niem, jak jaszczurka. To miasto jest nad brzegiem wody; mówią, że jest zbudowane z marmuru i że lud tameczny tak nienawidzi roślinności, że wrywa wszystkie drzewa. Oto masz krajobraz wedle swego upodo-

bania, krajobraz utworzony z światła, z kamienia i z wody ku ich odzwierciedlaniu!”

Dusza moja nie odpowiada.

„Ponieważ tak lubisz spoczynek z widokiem ruchu, chcesz-że tedy zamieszkać w Holandyi, tej uszczęśliwiającej ziemi? Możebyś się rozerwała w tej okolicy, której obraz często podziwiałaś w muzeach. Cobyś myślała o Rotterdamie, ty, co kochasz lasy masztów i okręty przywiązane u stóp domów?”

Dusza moja jest ciągle niema.

„To może Batawia uśmiechałaby ci się raczej? Tam znaleźlibyśmy nadto ducha Europy zaślubionego z podzwrotnikową pięknnością”.

Żadnego słowa. Czyżby ma dusza umarła?

„Doszłaś już więc do tego stopnia otrętwienia, że lubujesz się tylko w swej boleści? Jeżeli tak, to uciekajmy do krain, które są na podobieństwo Śmierci... Nie zaniedbuję naszej sprawy, biedna duszo! Spakujemy tobołki w podróż na Torneo. Idźmy jeszcze dalej, do ostatniego krańca Bałtyku; jeszcze dalej od życia, jeśli to możliwe, osiadźmy na biegunie. Tam słońce z ukosa tylko spogląda na ziemię, a powolne zmiany światła i nocy przytłumiają rozmaitość i wzmagają jednostajność, tę połowę nicości. Tam będziemy się mogli kąpać długo

w ciemnościach, gdy tymczasem dla rozweselenia nas zorze północne przysyłać nam będą niekiedy swe różowe snopy, jakby odbłyски sztucznych ogni Piekła!”

Nareszcie moja dusza wybuchła i zakrzyknęła: „Gdziekolwiek bądź! gdziekolwiek bądź! byle poza tym światem!”

XLIX.

BIJMY NĘDZARZY.

NA piętnaście dni zamknąłem się w pokoju i otoczyłem się książkami, modnemi w owym czasie (szesnaście, czy siedemnaście lat temu); mówię o książkach, w których wykłada się sztuka zrobienia ludu szczęśliwym, mądrym i bogatym w dwudziestu czterech godzinach. Przetrawiałem więc — pochłaniałem chęć rzecz, wszystkie te wypracowania tych wszystkich przedsiębiorców powszechnego szczęścia — tych, co radzą wszystkim biednym, by się stali niewolnikami i tych, co im tłumaczą, że oni wszyscy są królami strąconymi z tronów. Nikomu się to nie zda dziwnem, że byłem tedy w usposobieniu ducha, blizkiem pomieszanania lub ogłupienia.

Zdawało mi się tylko, że czuję w głębi umysłu tkwiący niewyraźny zarodek myśli, wyż-

szej od wszystkich formułek tej dobrej pani, której dykcyonarz właśnie przeglądałem. Ale była to dopiero idea idei, coś nieskończenie niejasnego.

I wyszedłem z wielkiem pragnieniem, gdyż zapamiętałe oddanie się złej lekturze wywołu-je odpowiednią potrzebę świeżego powietrza i chłodników.

Gdy miałem wejść do piwiarni, jakiś żebrak wyciągnął do mnie kapelusz z jednym z tych niezapomnianych, spojrzeń, które wywracałyby trony, gdyby duch poruszał materją i gdyby oko magnetyzera przyśpieszało dojrzewanie winogron.

Równocześnie usłyszałem głos szepczący mi do ucha, głos, który poznałem dobrze: był to głos dobrego Anioła, czy dobrego Demona, który mi towarzyszy wszędzie. Jeżeli Sokrates miał swego dobrego Demona, dlaczego ja nie miałbym mieć swego dobrego Anioła i dlaczego nie mógłbym dostąpić, jak Sokrates, zaszczytu otrzymania dyplomu szaleństwa, podpisanego przez bystrego Heluta i roztropnego Baillargerę?

Jest taka różnica między demonem Sokratesa a moim, że Demon Sokratesa objawiał się mu tylko, aby bronić, uprzedzać, przeszkad-

dzać, podczas gdy mój raczy tylko doradzać, poddawać, namawiać. Ten biedak Sokrates miał tylko uprzedzającego Demona zakaziciela; mój jest wielkim nakazicielem, mój jest Demonem czynu lub Demonem walki.

Otóż jego głos szeptał mi tak: „Ten tylko jest równym drugiemu, kto tego dowiedzie i ten tylko godzien jest wolności, kto umie ją zdobyć”.

Natychmiast rzuciłem się na mojego żebraka. Jednym uderzeniem pięści podbiłem mu oko, które stało się w jednej sekundzie nabrzmiące, jak piłka. Złamałem sobie paznokieć, wybiwszy mu dwa zęby, a ponieważ nie czułem się dość silnym (jako że byłem delikatny z urodzenia i mało wyćwiczony w walce na pięście), aby prędko utłuc tego starca, złapałem go ręką za kołnierz ubrania, a drugą dusiłem za gardło i począłem tłuc z całej siły głową jego o mur. Muszę wyznać, że zbadalem poprzednio rzutem oka okolicę i upewniłem się, że w tej pustej dzielnicy znajdowałem się przynajmniej na pewien przeciąg czasu poza obrębem władzy agenta policyjnego.

W końcu kopnąłem go w plecy dość silnie, aby mu skruszyć łopatki i powaliwszy tego

sześciodziesięcioletniego, osłabionego starca, chwyciłem dużą gałąź, co się wlokła po ziemi i tłukłem go nią z upartą energią kucharzy, którzy chcą zmiękczyć befszytk.

Nagle, — o cudzie! co za radość dla filozofa, który sprawdza znakomitość swej teorii! — zobaczyłem, jak ten starożytny szkielet odwrócił się, podniósł się z energią, której bym był nigdy nie podejrzewał w tej maszynie tak szczególnie zrujnowanej, i ze spojrzeniem nienawiści, które zdawało mi się *dobrą wróżbą*, zgrzybiały żebrak rzucił się na mnie, podbił mi oba oczy, wyłamał mi cztery zęby i tą samą gałęzią zbił mnie rzęsiście na miazgę. Tem energicznym leczeniem wróciłem mu dumę życia.

Tedy usiłowałem różnymi znakami dać mu do zrozumienia, że uważam rozmowę naszą za skończoną i podnosząc się z zadowoleniem sofisty z pod Portyku, powiedziałem mu: „Panie, *jesteś mi równym!* zechciej mi uczynić ten zaszczyt i podziel się ze mną moją sakiewką; a pamiętaj pan, jeżeli jesteś rzeczywiście filantropem, stosować do wszystkich swych współpracu, gdy zażądają jałmużny, teorię, którą miałem *nieprzyjemność* wypróbować na pańskim grzbiecie“.

Przysiągł mi święcie, że pojął moją teorię
i rad moich posłucha.

L.

DOBRE PSY.

P. Józefowi Stefensowi.

NIE rumieniłem się nigdy, nawet wobec młodych pisarzy mego stulecia, za swe uwielbienie dla Buffona; ale dzisiaj zawezwę ku pomocy nie duszę tego malarza wspaniałej przyrody. O! nie.

Raczej zwróciłbym się do Sterna i rzekłbym mu: „Zstąp z niebios, lub wzejdź ku mnie z Pól Elizejskich, byś mnie natchnął dla dobrych psów, dla biednych psów pieśnią godną ciebie, czuły żartownisiu, żartownisiu niezrównany! Przybywaj okrakiem na tym sławnym osle, który ci towarzyszy wiecznie w pamięci potomnych, a nadewszystko niech nie zapomni ten osioł nieść pomiędzy wargami delikatnie zwieszającego się swego nieśmiertelnego makaronu!”

Precz muzo akademicka! Nie mam nic do roboty z tą starą świętoszką. Wzywam muzy pospolitej, mieszczyki, żyjącej, by mi pomogła opiewać dobre psy, biedne psy, psy zabłocone, które każdy odtrąca jak zapowietrzzone i zapchlone, z wyjątkiem biedaka, któremu są towarzyszami i poety, który patrzy na nie okiem braterskiem.

Pfuj! psy wymuskane, te eleganty czworo- nożne, duńczyki, king-charle, mopsiki i pudle, tak pewne siebie, że wskakują bez pytania na podolek lub na kolana gościa, jak gdyby nie wątpiły, że się podobać muszą; swawolne jak dzieci, głupie, jak loretki, niekiedy złe i zu- chwałe, jak służba. Pfuj! nadewszystko te węże o czterech łapach, drżące i rozpróżniane, które się nazywają charciczkami, a które nie mają nawet w spiczastej mordce dość węchu, aby iść za śladem przyjaciela, ani w spłaszczo- nej głowie dość bystrości, by grać w domino!

Do budy z tymi natrętnymi darmożjadami!

A niechże się skryją w swych budach mię- ciuchnych i wyścielanych! Ja opiewam psa za- błoconego, psa biednego, psa bezdomnego, psa włóczęgę, psa sztukmistrza, psa, którego instynkt podobnie jak instynkt żebraka, włóczęgi i lino- skoczka, jest przedziwnie zaostrzony potrzebą,

tą tak dobrą matką, tą prawdziwą opiekunką inteligencji!

Opiewam psy nieszczęśliwe, te, co się włóczą samotne po krętych drogach wielkich miast, czy też te, które powiedziały człowiekowi opuszczonemu, mrugając mądrymi oczyma: „Weź mnie ze sobą, a z naszych dwóch nędz zrobimy może jakiś rodzaj szczęścia!

«*Gdzie chodzą psy?*» pytał niegdyś Nestor Rogueplan w nieśmiertelnym feljetonie, o którym sam zapomniał bezwątpienia, a ja tylko i Saint-Beuve może, my pamiętamy jeszcze dzisiaj.

Gdzie chodzą psy, pytacie mało baczni ludzie? — Chodzą za swemi interesami.

Schadzki dla interesu, schadzki dla miłości.

Przez mgłę, przez śnieg, przez błoto, podczas żrącego upału, podczas ulewnego deszczu, idą, chodzą, biegają, przechodzą popod wozy, gnane pchłami, namiętnością, potrzebą lub obowiązkiem. Wstały wczesnie rano, podobnie jak my i szukają z czegoby żyć, lub biegną za przyjemnościami.

Są takie, co śpią w zapadłych dziurach i przychodzą codziennie o tej samej godzinie dopominać się o swój kęsek w drzwiach kuchni Palais-Royal; inne, które przebiegają gromadami

wzwyż pięciu mil, by się podzielić ucztą, przygotowaną dla nich przez miłosierdzie pewnych dziewic sześćdziesięcioletnich, których niezajęte serce oddało się zwierzętom, gdyż głupi ludzie go już nie chcą; inne, które, jak zbiegli niewolnicy, szalejąc z miłości, opuszczają w pewnych dniach swe siedziby, by pójść poskakać godzinkę w mieście około ładnej suczki, o trochę zaniedbanej powierzchowności, ale dumnej i wdzięcznej.

Wszystkie są bardzo punktualne — bez karne-
tów, bez notesów, bez portfelów.

Czy znacie gnuśną Belgię i czyście podziwiali jak ja, te wszystkie tęgie psy, zaprzężnięte do wózka rzeźnika, młeczarki lub piekarza, które okazują tryumfalnem szczekaniem dumne zadowolenie, jakiego doznają rywalizując z końmi?

Oto jeszcze dwa, należące do kasty jeszcze więcej cywilizowanej! Pozwólcie, że was zaprowadzę do pokoju nieobecnego kuglarza. Łóżko drewniane, malowane, bez firanek, kołdry powyciągane i poplamione pluskwami, dwa słomiane krzesła, żelazny piecyk, jeden czy dwa zepsute instrumenta muzyczne. Oh! smutne umeblowanie! Ale patrzcie proszę na te dwie inteligentne istoty, odziane w suknie podarte i okazałe zarazem, uczesane jak trubadu-

rzy lub wojskowi, które strzegą z uwagą czarowników gotującego się na rozpalonym piecu *dzieła bez nazwy*, z którego środka sterczy długa warzecha, osadzona jakby jeden z tych powietrznych masztów, które oznajmniają, że mularka już skończona.

Nie jest-że słuszną, aby ci gorliwi kome-dyanci, nim się udadzą w drogę, posilili żołądek zupą mocną i dobrą? Czyżbyście nie przebaczyli trochę zmysłowości tym biedakom, które co dnia muszą się narażać na obojętność publiki i niesprawiedliwość dyrektora, co sobie zabiera większą część i je sam więcej zupy, niż czterech komedyantów?

Ileż razy przypatrywałem się uśmiechnięty i rozczulony tym wszystkim filozofom na czterech łapach, niewolnikom uprzejmym, poddanym lub poświęcającym się, którym by słownik republikański bardzo słusznie mógł nadać przydomek *sumiennych*, gdyby republika, zbyt zajęta *szczęściem* ludzi, miała czas troszczyć się o *cześć* psów!

Ileż to razy myślałem, że gdzieś się musi znajdować (kto to wie zresztą?) dla wynagrodzenia za tyle odwagi, tyle cierpliwości i pracy, raj osobny dla dobrych psów, dla biednych psów, psów zabłoconych i zmartwionych. Swe-

denborg utrzymuje przecież, że jest osobny raj dla Turków, a osobny dla Holendrów!

Pasterze Wirgiliusza i Teokryta oczekiwali, jako nagrody za swe przekładane śpiewy, dobrego sera, piszczalki lepszego wyrobu, lub kozy o nabrzmałem wymieniu! Poeta, co opiewał biedne psy, otrzymał jako wynagrodzenie ładną kamizelkę koloru zarazem bogatego i spetzłego, który nam każe myśleć o słońcu jesiennem, o piękności kobiet dojrzałych i o babiem lecie.

Nikt z obecnych wówczas w knajpie przy ulicy Villa-Hermosa nie zapomni, z jaką skwapliwością malarz pozbył się swej kamizelki na rzecz poety: tak dobrze zrozumiał, że dobrą i godziwą jest rzeczą opiewać biedne psy.

Tak wspaniały tyran italski za dobrych czasów ofiarował boskiemu Aretynowi bądź to sztylet drogiemi wysadzany kamieniami, bądź dworski płaszcz, w zamian za cenny sonet lub ciekawą satyrę.

I ilekroć poeta wdzieje ową kamizelkę malarza, zmuszony jest myśleć o dobrych psach, o psach filozofach, o babiem lecie i o piękności kobiet przejrzałych.



SPIS RZECZY.

| | Str. |
|---|------|
| Do Arsena Houssaye | 11 |
| I. Cudzoziemiec | 15 |
| II. Rozpacz staruszki | 16 |
| III. Confiteor artysty | 17 |
| IV. Żartowniś | 19 |
| V. Dwoisty pokój | 21 |
| VI. Każdy ma swoją zmołę | 25 |
| VII. Błazen i Wenera | 27 |
| VIII. Pies i flakon | 29 |
| IX. Zły szklarz | 30 |
| X. O pierwszej przededniem | 35 |
| XI. Dzika kobieta i wypieszczona dama . | 38 |
| XII. Tłumy | 42 |
| XIII. Wdowy | 45 |
| XIV. Stary kuglarz | 50 |
| XV. Placek | 54 |
| XVI. Zegar | 58 |
| XVII. Pół świata we włosach | 60 |

| | Str. |
|---|------|
| XVIII. Wezwanie do podróży | 62 |
| XIX. Zabawka biedaka | 66 |
| XX. Dary boginek | 69 |
| XXI. Pokusy, czyli Eros, Plutus i Sława | 74 |
| XXII. Zmierzch wieczorny | 80 |
| XXIII. Samotność | 84 |
| XXIV. Zamiary | 87 |
| XXV. Piękna Dorota | 90 |
| XXVI. Oczy biedaków | 93 |
| XXVII. Bohaterska śmierć | 96 |
| XXVIII. Fałszywy pieniądz | 103 |
| XXIX. Wspaniałomyślny gracz | 106 |
| XXX. Sznurek | 112 |
| XXXI. Powołania | 119 |
| XXXII. Tyrs | 126 |
| XXXIII. Upajajcie się | 128 |
| XXXIV. Już | 130 |
| XXXV. Okna | 133 |
| XXXVI. Żądza malowania | 135 |
| XXXVII. Dobrodziejstwa księżycy | 137 |
| XXXVIII. Któraż jest prawdziwa? | 139 |
| XXXIX. Rasowa klacz | 141 |
| XL. Zwierciadło | 143 |
| XLI. Przystań | 144 |
| XLII. Portrety kochanek | 145 |
| XLIII. Grzeczny strzelec | 153 |

| | Str. |
|--|------|
| XLIV. Zupa i obłoki | 155 |
| XLV. Strzelnica i cmentarz | 156 |
| XLVI. Strata aureoli | 158 |
| XLVII. Panna Bistouri | 160 |
| XLVIII. Any where out of the world . . . | 166 |
| XLIX. Bijmy nędzarzy | 169 |
| L. Dobre psy | 174 |

OMYŁKI DRUKU.

| Str. | wiersz | zamiast: | ma być: |
|------|-------------|--------------------------|--|
| 17. | 2. od góry | sąbowiem | są bowiem |
| 20. | 2. „ „ | zadowolenia | jego zadowole- nie |
| 29. | 2. „ „ | chodź że | chodźże |
| 41. | w ostatniem | <i>alinea</i> cudzosłowy | na po- czątku i na końcu niepotrzebne. |
| 78. | 11. od dołu | zamiast: wstążkami | jak fujarka ma być: , jak fujarka wstążkami |
| 109. | 6. od góry | zamiast: się zupełnie na | ma być: się na |
| 111. | 2. od dołu | wpółśnie | w półśnie |
| 150. | 4. „ „ | zamiast: ukazywała się | ma być: ukazywała mi się |

Oprócz tego w wielu miejscach, zwłaszcza w arkuszach 3. i 5., zaniedbano w korekcie usunąć zbytecznych, lub poprawić fałszywie rozmieszczonych znaków pisarskich.
